

Z roczników „Kamena”. Numery: pierwszy, setny, dwusetny, trzysta i czterestny...

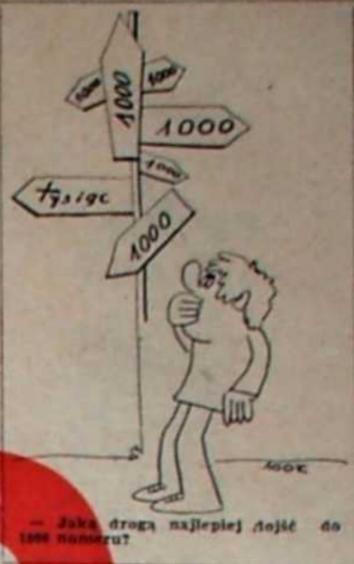
Fot. CAP — Jaskiewicz

W numerze

m.in.:

500

Maria Bechczyz-Rudnicka
Tadeusz Chudy
Bolesław Fac
Leon Gomolicki
Jan Górec-Rosiński
Kazimierz Andrzej Jaworski
Anna Kamieńska
Julian Kawalec
Jerzy Krzysztoń
Jan Lohmann
Władysław Machejek
Barbara Nawrocka
Krzysztof Nowicki
Józef Prutkowski
Edward Stachura
Tadeusz Śliwiak
Witold Zechenter



— Jaka drogą najlepiej dojść do 1000 numeru?

Z okazji ukazania się 500 numeru „Kamena” składam Zespołowi Redakcyjnemu oraz wszystkim Współpracownikom Pisma — w imieniu Zarządu RSW „PRASA” najserdeczniejsze gratulacje.

Pismo Wasze na trwałe związane jest z Ziemią Lubelską, której rozwojowi społecznemu i kulturalnemu służy już od blisko 40 lat. Zyskało sobie też tutaj grono wiernych czytelników — przyjaciół.

Z okazji jubileuszowego numeru życzyć należy Pismu, nie tylko ugruntowania dotychczasowych osiągnięć, ale przede wszystkim dalszego rozwoju, a Zespołowi Redakcyjnemu dalszych poszukiwań na rzecz doskonałości Pisma oraz wszelkiej pomyślności w życiu osobistym.

STANISŁAW MOJKOWSKI
Prezes ZG RSW „PRASA”

Z okazji pięćsetnego numeru Waszego pisma przesyłam Kolegium Redakcyjnemu oraz całemu zespołowi pracowników jak najserdeczniejsze życzenia.

PAWEŁ DĄBEK
Dyrektor Wydawnictwa Lubelskiego

Ma się rozumieć, życzymy 1000 numeru „Kamena”. Stać Was na więcej, ale o tym muszą pomyśleć także następni. Z okazji świetnego Jubileuszu życzymy zawojowania do końca Lubelszczyzny i z kolei jeszcze odważniejszego kierunku globalnego. Będzie to m. in. zwieranie „frontu” z „Życiem Literackim”.

WŁADYSŁAW MACHEJEK
Redaktor Naczelny
„Życia Literackiego”

Z uroczystej okazji wydania 500 numeru przesyłam bratniemu zespołowi „Kamena” moc najserdeczniejszych życzeń: stutysięcznego nakładu, przekształcenia pisma w tygodnik, jak najlepszych materiałów, podwojenia objętości i potrójenia honorarium.

Wszystkim kolegom i przyjaciołom po piórze wszelkiej pomyślności, zdrowia i szczęścia.

LESŁAW GNÓT
Redaktor Naczelny „Kuriera Lubelskiego”

Szanowny Towarzyszu Redaktorze!
500 numerów „Kamena” to nawet nie tak mało. Ale ile razy po 500 jeszcze by się zdalo...

Serdeczne gratulacje z okazji Jubileuszu oraz najlepsze życzenia czterocyfrowego numeru pod Waszym przewodem i, oczywiście, uwielokrotnionego nakładu

życzy

TADEUSZ LEŚNIAK
Redaktor Naczelny „Głosu Młodzieży”

Podwojenia nakładu i szybkiego przejścia na edycję tygodniową życzę z okazji pięćsetnego numeru

RYSZARD DUNIN
Przewodniczący Okręgowej Komisji
Zw. Zaw. Prac. Książki, Prasy i Radia

Sam na sam z wolnością

Zygmunt Mikulski

TEGO dnia praca skończyła się wcześniej. Zdecydowała o tym nie administracja niemiecka, ale radziecka artyleria. Już od tygodnia nie potrzebne były wieści o froncie. Oznajmiał się sam głuchym dudnieniem coraz bardziej narastającym w sile.

Szedłem podbiegając niepotrzebnie za każdym głóśniejszym wybuchem, jakby w unikach przed rażeniami, które — gdyby obawa była słuszna — mogły pięćdziesiąt razy wysłać mnie na tamten, również niespokojny, świat. Nie byłem w tym odosobniony. Każdy niósł oczekiwanie wolności z jakimś wewnętrznym skupieniem, w nagłym i niewiarygodnym oderwaniu od okupacyjnej psychozy, której miej-

scą jeszcze nie zajęła bezpieczna radość. Ostatnie kwadransy okupacji. Kwadrans? Tylko przebiegną Nową Drogą, dostać się w „swoją” dzielnicę, a zwykły ręczny zegarek zacznie odmierzać pierwsze minuty wolności.

Ale to jeszcze nie teraz. Światła reflektorów chwytających samolot tworzą parasol. Taki sam parasol narasta z huku dział, tylko że przestrzeń nim objęta szczerzej jest wypełniona materią akustyczną, niż tamta wizualna. Idzie się pod tym sklepieniem z wybuchów, w tej bazylicie wojny i doświadczenia dziwnego podniesienia uczuć. Wolność nie przychodził bez grozy. To nie pospolity, choćby i spotęgowany strach. To doznanie — również ze względu na rozległość scenarii — patetyczne.

Zdaje się, że zaczyna padać deszcz. Ale zaraz się wycofuje widząc, że

nie wywoła on wrażenia wobec żywiołu rozpetanego ręką człowieka. Przyspieszam kroku przypuszczając, że jednostajny rozchód armat nie będzie na tyle cierpliwy, by trwać wiecznie i zaraz nastąpi jakaś dominanta. Okazuje się to jednak miarką nie na wzrost wydarzeń, których przestrzenny walor wskazuje na inny miernik czasu. Docieram do domu bez „niespodzianek”.

Tutaj jakoś wrażenie, że oto zbliża się zasadniczy przełom, znacznie mniejsze: miewkamy od centrum miasta dość daleko, a charakter peryferii leży w tonacji dnia codziennego. Poza tym to słońce, zieleni na drzewach, wcale nie kontaktuje z epopeją. Raczej z liryczną. Trudno, żeby świadomość choć na moment nie otrzymała zwolnienia ze stanu czujnego pogotowia.

Dokończenie na str. 3

Jan Górec-Rosiński Eroica

Synon

Pamiętać, nie zapomnieć, a wczoraj.
Pamiętać noc każdej brzemienności,
dzień każdej hańby. Nie gardzić nędzą,
nie śmiać się, gdy ścinają różę.
Nosić ból, dziecko nawet nie upokorzenia,
jak nosi się oczy lub pamięć zniewagi.
Wiedzieć każde słowo, nawet nie wypowiedziane.
Iść, zapamiętując każdą bliźnę.
Patrzeć w dal — i nie widzieć wszystkiego,
jak zakłopotana sowa, albo jak orzeł
wzbijający się w samotnej dumie.
Rozumieć łzę, jak rozumie się upadek drzewa,
albo ośnienie własną tożsamością.
Przyjąć radość wiedząc, że jest ziarnem bólu.

Spiwać szczyty, myśląc o udręce dolin,
lub o niepokoju źródeł. Ukazywać słońce —
ostrzegając oczy: blask nadmierny
jest fałszem równie nieczytelnym
jak noc nie przetkana harmonią gwiazd.
Iść do zwycięstwa — jak idzie tan:
wypełniając kłosa. Sławić wielkość,
pamiętać, nie zapomnieć, że największy
był tylko ślepcem. Kochać czystość —
jak kocha się ranę jeszcze nie skazaną
i znać cenę piękna, siostrzycy cierpienia.
Być człowiekiem godnie: bać się siebie,
zaufać płonącym. Ścisnąć dłoń — wiedząc,
że mogą sadzić różę i ścinać powietrze
naszych księżyców, wieszając nasze sny.
Być człowiekiem godnie: bać się siebie,
Kochać żywych, jeśli kochać oznacza:
iść w nurcie: jeśli kochać oznacza: istnieć,
jak istnieje ogień, albo agawa
kwitnąca tylko raz.



Leopold Buczkowski; Madona Zamojska (drzewo)
Fot. Tadeusz Buczkowski

KULTURA 1972

Literatura

- Laureatem nagrody literackiej im. Mariusza Zaruskiego ufundowanej przez ZG LOK został 86-letni pisarz-marynista Jerzy Borkan Rychniński.
- W wrześniu ukazuje się pierwszy tom międzywydawniczej serii „Biblioteka 20-lecia”, obejmującej najcenniejsze pozycje prozatorskie, poetyckie i dramatyczne naszej powojennej literatury. Pierwszy tom to „Wiersze i poematy” Broniewskiego, drugi — „Opowiadania” Dąbrowskiej, trzeci — „Dramaty” Kruczkowskiego.
- Niemal równocześnie wyszły w Pradze trzy wybory wierszy polskich poetów w przekładzie Jana Pilara. Utwory Kochanowskiego ukazały się pod tytułem „Renesansowa jutnia”, Leśmiana — „Zielona godzina”, Iwaszkiewicza — „Pławienie koni”. Pilar był ostatnio gościem ZLP.
- Tylko dwa wydawnictwa moskiewskie wydały w ostatnich dwóch latach utwory 61 autorów-robotników.

Teatr

- Lódzki Teatr Wielki adaptował swoje przedstawienie „Fausta” Gounoda do warunków plenerowp i taki spektakl ma być zorganizowany na 16 zabytkowego zamku w Uniejowie.
- Teatr Nowy w Łodzi wystawił „Judasza z Kariothu” K. H. Rostrowskiego z Bogusławem Sochnackim w roli głównej.
- 25-lecie działalności obchodzili założony dla polskiej kultury amatorski Teatr Robotniczy w Bielawie, odznaczony Orderem Sztandaru Pracy II klasy, kierowany nieprzerwanie przez dziennikarza i literata Teodora Mierzeje. Teatr dał dotychczas ponad 3 tys. spektakli, które obejrzało 700 tys. widzów.
- W amfiteatrze nad Gopłem zespół ponad 100 uczniów liceum ogólnokształcącego z Krzywicy wystawił widowiskowe plenerowe „Stare Bałki” Krzeszowskiego. Trzydziesięcioro widzów oglądało kilka tysięcy osób.
- W Czeskiej Republice Socjalistycznej istnieje 65 scen teatralnych, które w roku ub. dały 18345 spektakli. Słowacka Republika Socjalistyczna posiada 13 scen teatralnych, które pokazały łącznie 4406 przedstawień. Po przejściowym spadku frekwencji w wyniku upowszechnienia telewizji, od roku widownia jest stała wzrost liczby widzów w teatrach.
- Na scenach angielskich i francuskich coraz częściej pojawiają się sztuki dramaturga angielskiego Krzysztofa Marlowe (zmarł w roku 1593). Sztuki jego przetrwały przez długi czas uważane były za zbyt sadystyczne, a Shaw krytykował go za „rzeźniczość”.
- Rada administracyjna teatru w Zurichu mianowała dyrektorem Friedricha Duerrenmatta, który jednak stanowczo odmówił przyjęcia tego stanowiska.
- W Turynie wspólnym wysiłkiem młodych aktorów i młodzieży szkolnej powstał Teatr Słońca, którego hasłem jest — „Teatr z dziećmi i dla dzieci”.

Sztuka

- W kilku miastach Francji odbyła się wystawa gobelinów czeskosłowackich. W Paryżu ekspozycja czynna była przeszło miesiąc.
- Przed rokiem wystawiono na licytację w Londynie obraz Tytjana „Śmierć Akteona”. Multimilioner amerykański Getty zapłacił 4 miliony dolarów. W Anglii nikt nie mógł tej sumy zapłacić i groziło wywiezienie arcydzieła poza ocean. Ale w ciągu roku zebrano niemal całą sumę — kośćcówkę da koncert kompozytora Brittena.
- W Afryce odkryto dotychczas rzeźbki około 100 miast, składających się z cytańdli i dzielnic — mieszkalno-rzemieślniczych. Miasta te są dziełem tzw. kultury azońskiej, która w XIV wieku została zniszczona przez najazdy kenozwicznych plemion z północy.
- Jak się okazało zalezione kiedyś w Chinach żelazne siekiery, pochodzące z przełomu I i II tysiąclecia przed naszą erą, zostały wykonane z metalu, który wytopiono z żelaza. W tym czasie znana tam była dopiero kilka set lat później.

Muzyka

- Dzięki nowym inwestycjom „Polskie Nagrania” w roku 1972 będą mogły produkować 18 mln egzemplarzy płyt na wysokim poziomie technicznym — zamład 6 mln obecnie i to nie najlepszych.
- 27 czerwca zakończyły się VIII Państwkie Spotkania Laikarzy, w których wzięło udział osiem amatorskich zespołów z różnych stron kraju. Obok spektakli odbyły się zajęcia seminaryjne i dyskusje.

Muzyka

- W dniach 22-30 czerwca odbył się w Łodzi cykl imprez pod nazwą Dni Muzyki Organowej i Oratoryjnej.
- W jubileuszowym X Holland Festiwalu wystąpiła nasza śpiewaczka Halina Lukomska oraz zespół Stefana Sutkowskiego „Musicae Antiquae Collegium Varsoviense”.

ZOKAZJI pięćsetnego numeru „Kamień” nie zamieszczamy żadnego artykułu wstępnego. Nie czynimy tego, bo we wrześniu br. nasze pismo wraca w swoje czterdziestolecie: do września 1973 r. będzie sporo okazji, aby spojrzeć na przebyta drogę. Mamy też zamiar przypomnieć stare publikacje, m. in. z okresu przedwojennego, wrócić do niektórych nazwisk, a także rozszerzyć krąg współpracowników, jak i wachlarz poruszanej problematyki. Sądzymy, że pomoże nam w tym konkurs na reportaże o Lubelszczyźnie, którego jednym z organizatorów jest również i „Kamień”.

Nasz pięćsetny numer ukazuje się w nieco zwiększonej objętości. Serdecznie dziękujemy tym pisarzom, którzy odpowiedzieli na nasz apel, nadsyłając utwory poetyckie, fragmenty prozy, eseje, prace publicystyczne. Będziemy radzi, jeśli ich kontakt z „Kamieniem” stanie się elementem trwałym. Dziękujemy również tym wszystkim, którzy pamiętali o jubileuszowym numerze, czemu dali wyraz w telegramach i listach gratulacyjnych. (Część z nich drukujemy na pierwszej stronie).

Flirt z „Kamieniem” Leon Gomolicki

SA zjawiska tak czyste w swych intencjach, że pamięć o nich pozostaje na zawsze połączona z uczuciem satysfakcji moralnej. Taką właśnie była „Kamień”, a jeśli taką była, to dzięki swemu inicjatorowi i głównemu inspiratorowi, Kazimierzowi Andrzejowi Jaworskiemu. Miałem i mam wielki sentyment do jego dzieła. Byłem mu bliski jeśli chodzi o bezinteresowność służenia literaturze. Poznaliśmy się w naszej współpracy, która trwała pięć lat, do samego wybuchu wojny. Ciekawe, że dotychczas, kiedy korespondencja nasza (przed wojną intensywna i płodna) została wznowiona, obojście nie zetknęliśmy się ani razu.

Pozwól sobie jeszcze raz zacytować fragment z moich Dzięków muz, poświęcony moim kontaktom z „Kamieniem”:

Flirt z „Kamieniem” zaczął się u Czechowicza. Miałam skromną szatę. Jest taki, powiedział, nauczyciel w pełnym mieście nad Bugiem, zbiera od takich samych jak on składki na jej utrzymanie, autorom nie płaci, nie ma z czego, ale skrótce przekonamy się, jak daleko ta Dama zajdzie. Nie omiylił się: „Kamień”, wciąż w stroju koczowniczym, opuszcza stołeczne anasamble, stała się naprawdę Kamieniem przedwojennym lat. Jej chude zeszyty są dokumentem epoki, gdy inne pisma — kosztowne i wyszukane — poszły jak kamień na dno rzeki (zapomnienia).

Pierwszy mój esej w „Kamieniu” ukazał się w jej wrześniowym numerze 1935 roku, właśnie tym, w którym umieszczono notę o tragicznej śmierci Bronisława Ludwika Michałskiego. W następnej, listopadowej „Kamień” wydrukowano moje wspomnienie o tym młodym poecie. Było to chyba pierwsze wspomnienie o nim w ogóle. Artykuł Bolesława Michałskiego pojawił się w połowie lutego 1936 roku, z okazji drugiego, pośmiertnego tomu wierszy Michałskiego. Mimo woli początki mojej współpracy z „Kamieniem” kaźszą mi się z tą smutną sprawą.

Bronisław Michałskiego poznałem u Czechowicza. Ostatnio mieszkał u niego. Poznałem i polubiłem, bo nie można było nie polubić go. Wkrótce Bronisław popisał samobójstwem. Nie umiał poradzić sobie w życiu. Ostatnio dużo pił. W noc na 27 lipca 1933 roku z wybrzeża Pojezierza weszli do Wisły. Ciała jego wyłowiono gdy już nie żył. Czy to istotnie było samobójstwem? Parę dni przed śmiercią napisał wiersz „Topielcy”, umieszczony w „Kamieniu”, a potem w późniejszym tomie „Spotkanie z brzoza”, powtarzany w antologach. Pisałem wtedy o tym wierszu: „To nie proroctwo i nie przedśmiertna notatka wierszem. To już był prawdziwy akt śmierci. Zimno, nierówno czuje się człowieka, czytając i wiedząc o tym. Później powtórzył tylko somnambulicznie w życiu to, co już się stało, gdy z zmiernym łętał nieruchomo na łóżku, przemyślał oczy. Wtedy w brzmieniu układowych się w umyśle wierszy stawał zapewne płaski wód, jak później, gdy tonął, musiał mu w osnającej świadomości dźwięczyć to wiersze”.

Wiele palących wtedy spraw, wiele węzłowych zagadnień, setki debiutów czolowych później poetów i prozaików zostało utrwalone w skromnych zeszytach przedwojennego „Kamienia”. A mało gdzie zachowały się jej komplety. Wojna zniszczyła nie jeden księgozbiór. Sądzę, że należałoby wydać w specjalnym tomie najciekawsze eseje, nowele i wiersze drukowane w dawnej „Kamieniu”. Do tej publikacji mamy doskonały komentarz w książce Kazimierza Andrzeja Jaworskiego W kręgu Kamienia.

Jugosławia 1972 (2)

„Abstrakcja nie idzie”

Marek Adam Jaworski

SLOWENCY nazywają swoją stolicę Ljubljana. My spolszczamy i upraszczamy zarazem, usuwając dwukrotnie literę „j”. Ljubljana (w poprzednim odcinku pisałem nieprawidłowo, chociaż na lotnisku w Belgradzie właśnie spotkałem się z Ljubljana) brzmi, zwłaszcza w Lublinie, bardzo swojsko: ten Lublin, ta Lublana. Można by zaślubić oba miasta, aż jał, że uprzedziły nas Katowice, które nawładzały z Lublana współpracę kulturalną. Wymieniają między sobą zespoły teatralne, wystawy plastyczne, ludzi sztuki. Właśnie teraz bawi w Katowicach Galeria Malarzy Nainnych, Martin Zakonjsek, sekretarz Związku Organizacji Kulturalno-Oświatowych Słowenii, pokazuje mi ilustrowany katalog ze słowem wstępnym — w języku polskim — prof. Zorana Krzisińnika. Tłumaczenie nieco -razi chropowatością, ale pozwolę sobie fragment tego wstępu zacytować:

Słoweńscy artyści „nawini” samoucy, skupieni wokół centrum Trebnje, którzy zdobyli swoją pozycję, będąc zdanymi na własne siły, nie mają takiego centrum geograficznego, jakim dla Chorwatów było Hlebinie. Pozostają oni rozproszeni i tworzą każdy z osobna, czerpiąc siłą impulsy z różnych tradycji wyrosłych na górskich, równinnych i nadmorskich terenach małej ale zróżnicowanej Słowenii. Punktem zwrotnym w poznaniu twórczości słoweńskich malarzy prymitywistów, którzy przedtem byli „odkrywanymi” pojedynczo i przypadkowo, stała się wspólna wystawa ich malarstwa pod dachem „domu samorolnych” w miasteczku Trebnje. Odtąd poznają oni wzajemnie swoją twórczość, dyskutują o swoich problemach, jednakowoż nie mogą albo nie chcą się ściśle powiązać i stworzyć „szkoły”. Nadal pozostają twórczo samotnikami...

To twórcze osamotnienie nie przeszkadza im jednak w szerokim prezentowaniu swoich prac. Oto 42-letni Jozef Horvat-Jaki miał wystawę indywidualną w Paryżu, Wenecji, Los Angeles, Zurichu, Wiedniu, Kolonii, Bonn, że wymienię tylko niektóre miasta z 37(!). Podkreślam — były to wystawy indywidualne, do nich można dodać jeszcze 47(!!) zbiorowych, w których Horvat-Jaki uczestniczył. Inni słoweńscy malarze nawni — pozostane przy tym określeniu — nie mieli tak bogatej obszarowo prezentacji, ale i oni nie ograniczali się tylko do Jugosławii. Rzecz ciekawa: katalog podaje ich zawody. Czytam: nauczyciel, mechanik-łącznościowiec, gospodyni, ko-

wał. Tylko w dwóch wypadkach jako zawód figuruje malarz. Wiek waha się w granicach 36-50 lat.

— Właśnie w Trebnje, 26 km na południe od Lublany, o tym miasteczku wspomina katalog — mówi Martin Zakonjsek — co roku organizują oni plenery malarskie i wymieniają poglądy na temat swojej twórczości. Plenerów w Słowenii jest zresztą sporo. Artysci i amatorzy i profesjonalści, zbierają się co pewien czas, malują lub rzeźbią, wykorzystując wszelakie tworzywo.

— Ilu macie w Słowenii malarzy, których można zaliczyć do zawodowców? — pytam, znając lubelskie stosunki.

— Około czterystu.

Liczba imponująca. Ale czy z malarstwem można żyć?

Martin Zakonjsek uśmiecha się.

— Oni mają wiele wystaw w fabrykach, w sklepach. Ludzie oglądają, wybierają prace i kupują. Przekazujemy do użytku nowe mieszkania. Powszechną ambicją jest zawieszenie w nich oryginalnych obrazów.

— Ale przecież te oryginalne obrazy nie są chyba zbyt tanie?

— Oczywiście. Przeciętnie 500-1500 dinarów za obraz. Ale są i za 5000...

Słowenia jest najbogatszą republiką Jugosławii, ale mimo wszystko wygląda mi to wszystko zbyt optymistycznie.

— A więc — nalegam uporczywie — można utrzymać się z samego malowania?

— Zdarza się, ale nie traktujemy tego jako reguły! Większość naszych zawodowych malarzy ma jakieś etaty: w szkołach, w zakładach pracy, przy dekoracji wnętrz, wystaw sklepowych. Niektórzy ilustrują książki, zajmują się grafiką, a nawet ozdabiają swoimi reprodukcjami wyroby przemysłu lekkiego przeznaczone na eksport.

Jestem więc w domu. Kamień spada mi z serca, chociaż daleko jeszcze u nas do tego, aby powszechną ambicją stało się zawieszanie na ścianach prywatnych mieszkań oryginalnych prac malarskich. Mam jednak cichą nadzieję, że mój rozmówca nieco przesadza. Chociaż, gdyby nasi malarze byli bardziej tradycyjni. Bo... Oddaję głos Zakonjsekowi:

— Dominują prace realistyczne. Dawniej — cytuję teraz dosłownie według nagrania na taśmie magnetofonowej — przeważała abstrakcja, od kilku lat notuje się nawrót do realizmu.

— Jak to pan tłumaczy?

— Po prostu abstrakcja nie idzie, nikt takich obrazów u nas nie kupuje. Ludzie nie nauczyli się reagować jedynie na kolor. Ludzie nie mają czasu zbyt długo myśleć, co

autor chciał powiedzieć. Jak obraz ma przedstawiać morze, niech to będzie morze, zielen — niech to będzie zielen.

Szkoda, że tu nie ma naszego krytyka plastycznego Irka Kamińskiego — myślę. Dyskusji nie będę podejmował, chociaż te obrazy, które oglądałem w niektórych urzędach, bardziej przypominają mi kolorowe fotografie niż dzieła artysty. Wierzę memu rozmówcy, gdy twierdzi:

— U nas malarstwo jest bardzo rozpowszechnione. Nawet dzieci szkolne organizują swoje plenery. Do Słowenii przyjeżdżają z całej Jugosławii. Niech pan sobie wyobrazi taki plener z udziałem 400-500 dzieci!

Rzeczywiście musi to być gigantyczna impreza.

— Na taki plener wiele szkół deleguje swych najlepszych uczniów. Plonem pleneru jest wystawa wybranych prac. Dzieła najmłodszych pokazywaliśmy i zagranicą.

Zmieniam temat i wchodzę na podwórko literackie. Związek Literatów Słowenii liczy ok. 200 członków. Większość zajmuje się prozą.

— Obserwujemy podobne zjawisko, co w malarstwie. Tam ucieka od abstrakcji, a w literaturze — powrót do tradycji ludowych, poszukiwanie tematów obrazujących współczesne życie. Tzw. antypowieści były dobre kilka lat temu, ale to już u nas przebrzmiało.

— Mówi pan o współczesnym życiu. Czy zdarza się, że jakaś fabryka zaprasza do siebie pisarza, daje mu stypendium...

— Nie, nie. Absolutnie nie! Ale notujemy wypadki, że pisarz sam idzie do fabryki, prosi, aby go tam zatrudniono na etacie. Owozem bywa niekiedy konkretna powieść lub zbiór opowiadań. Zresztą — nie wiem, jak jest u was — z samego pisania trudno żyć. Literaci pracują więc w redakcjach, w szkołach, w różnych instytucjach kulturalnych. Honorarium nie jest podstawą ich egzystencji. Oglądał pan chyba księgarnie. Nakłady książek są małe, ich cena jest wysoka, bardzo wysoka. Poetza — 1500 egzemplarzy to już wiele. Powieść — 10-15 tysięcy.

— Czy pisarz ma procent od sprzedaży książek?

— To zależy. Jeśli sprzeda prawa drukarni — nie ma, jeśli sam drukuje — ma.

Tu następuje dłuższy wywód o organizacji wydawnictw i drukarni. Z zasady wydawnictwo ma swoją drukarnię i swój sklep. W tym sklepie przede wszystkim sprzedaje własne książki. Jest ich pełny wybór, nie przeszkadza to jednak, by

Tadeusz Śliwiak
Południe

W pasiece właśnie wybija południe
południe lato
W szafkowych zegarach uli
dopelnia się słoneczna geometria wosku
Upał jest w powietrzu naprężoną struną
z pasem amplitudy rozszerzonej w miejscu
gdzie przelatują miodonośne pszczoły

W pasiece — południe
Pod palmą dmuchawca
usnął trzmiel pijawy

Tę scenę można wyrzeźbić w bursztynie
albo wytłoczyć w tytoniowym liściu
Tę scenę można wyspiewać na flecie
przy wtórze świerszcza ukrytego w trawie
Tę scenę można utkać jak gobelin
z włosów dziewczyny wpatrzonych w słonecznik

Znak wyobraźni

Wyszedłem z morza
zamieszkałem w lesie
wyszedłem z lasu
bo mi topór cięży
topór ocieka
księżycowym światłem
żywica palce
znowu w pletwy zlepia

Lóży zbijom z drzewa
pozuje mi ryba
ustawiam żagiel
a wiatr mi pozuje
jeszcze nastroić
ster jak strunę skrzypiec
i dziobu strzałkę
na gwiazdę wyczulić

Nastap się woda
wietrze bądź miłościw
— płynę w świat szukać
znaków wyobraźni

Sam na sam z wolnością

Dokończenie ze str. 1

Ala czas do refleksji najmniej odpowiedni. Konkretnie: co robić? Pytanie — rzecz oczywista — nie na miarę kontynentu, który teraz zapelnia się historią, ale też i nie w sprawie błahostki. Już i liryczny żywioł ogrodu znikł przesłonięty ścianą z huku.

Piwnica? Jest wilgotna, po ostatnich wiosennych roztopach jeszcze z namulem pokrywającym dno. Spędza nas tam tylko seria mocniejszych wybuchów. Wrażenie, jakby za każdym razem zerwano dach. Ile tych dachów ma jeden dom?

Na ulicach pusto. Przeszły na nieużytek takie rzeczy, jak koleiny, chodnik, furtka. W diabły gdzieś poszedł i dzień codzienny. Jedyna rzeczywistość to ten huk i gwałtowna ingerencja jakiejś wielkiej sprawy, która anuluje utarty bieg życia, wznosi się ponad głowę nieporadnej jednostki ludzkiej. Tak. Stanie się ten wtorek, czwartek, piątek, który mimo przynależności do zwyczajnego kalendarza zawiera w sobie dynamit. Błysk perspektywy. Jak inaczej powiedzieć? Chodzi o ten gwałtowny przepust zdarzeń w jednym momencie przejeżdżających przez człowieka większym ładunkiem, niż systematyczne transporty lat.

Nie mam żadnej umiejętności w rozpoznawaniu sytuacji bojowej na podstawie wrażeń słuchowych. Wiem tylko, że Krzywy Róg, Kursk i Kowel podeszły pod Lublin patrolując ofensywie, która wrazi się w moją pamięć czymś więcej, niż frontowy komunikat. Ale który konkretnie strzał należy do forpoczty wolności, a który do ariergardy uchodzącej już i złamanej przemocy? Nie wiem. Nie odczytam z grzechotu sunącego po niebie, grzającego jak nadłamana gałąź. Zdany jestem na czekanie i ten cierpkawy posmak uczucia, który niewiele wspólnego ma z odwagą, szczególnie w momentach nasilonej kanonady.

„Stan oblężenia” sparaliżował już tok czynności domowych. Zresztą jesteśmy myślą całkowicie przy tym, co się dzieje wokół miasta, a nie przy szklance herbaty czy talerzu zupy. Jedna tylko tęciowa nawykiem wszystkich kobiet nie zaniedbuje momentu odpowiedniego do usmażenia jakichś placzków. Nie spostrzegłbym, gdyby były ze złutwiałych trocin.

Nad ranem coś ucichło. Czyżby Niemcy zabierali się do odwrotu? Ranek jest mglisty, w tym nagłym momencie ciszy słychać spadanie kropel po niedawnym deszczu. Nagle zdrętwiałem. Jednak prawda, co się słyszało, że towarzyszące Niemcom oddziały szaulisów i wlasowców ustępując wpadają do domów i... psiałość, nie kończyć. Okna po ostatnim bombardowaniu są zatkałe dyktą, ale słychać odgłos butów i fragment rozmowy w obcym języku. Żebyż wpadła do głowy jakaś decyzja! Stoje i czuję spacer dreszczu po kręgosłupie.

Co to? Teściowa biegnie z karafką i dwoma kieliszkami. Dwóch starszych. Nawet nie zdjęła karabinów. Rosjanie! Z wrażenia zapomniałem języka w gębie. To już?

Żołnierze odeszli i zostałem sam na sam z wolnością. Jakby nagle przestała działać siła przyciągania. Nie bardzo

wiem, co z tymi minutami zrobić. Przez to, że zapowiadane, nie są mniejszą niespodzianką. Niemal zaczynam uczyć się świata od nowa. To plot, to niebo, a to krzak agrestu. Przyjmuję widok ze zdumieniem. Ani uwzględniłam, że strzały, które jeszcze tu i tam się odzywają, mogą naprawdę razić. Są już „nieaktualne”, „nie leżą się”, jak goli po sędziowskim gwizdku.

Świt już się dawno skończył, wstało słońce i przepędziło deszcz, pozostawiając jego remanenty w niewielkich kałużach. Dwaj żołnierze byli dotąd jedyni. Wolność już przyszła, ale jeszcze nie zostaliśmy objęci wyzwolicielską armią. Oto teraz nadejga. Z przeciwnej strony! Chłopcy noszą w hełmach wiśnie, częstując się nimi w marszu. Jakiś karabin maszynowy na czterech kółkach, zupełnie jak do zabawy w wojnę. Stoimy urzeczeni, nie mogąc się jeszcze zdobyć na wyraz radości. Nieruchomość dzieci przed choinką.

Tamci nie otrzymują powitalnych okrzyków, które się później przestoczą w nieodparte bombardowanie radości, bo jeszcze ludzie na dobre nie powychodzili z domów. Ten oddziałek, jak i następne po nim, to jakby nuty w przedtakcie, w przedśionku melodii. Jeszcze się nawet oko nie oswoiło. Przemykają szybko, wcale nie przejęli bezmiernym wrażenia, jakie wywiera na nas ich widok. Po raz pierwszy nie ma strachu przed obnażoną lufą.

To pierwsze spotkanie z wolnością ma dla mnie jakiś koloryt winiowy. Sady, owocująca pora roku, światłość poranka... Słońce podniosło się już na dobre i wilgoć po niedawnym deszczu wypada już tylko kapać po liściach, budząc nieregularny rytm gestywny. Mimo że tu i ówdzie słychać jeszcze strzały, ta chwila należy do najcięższych w moim życiu. „Wstępne” oddziały odeszły, nie się na razie więcej nie pojawiło: odpoleczniona ludzkość w obliczu nagiej przyrody. Pszczela dotąd mrozili się na jakimś kwiatku wobec dodatkowych trudności z nadmiarem wody. Przez cały czas brzęczała swą małą krzątaniną.

Przybywa wojsko. Teraz jesteśmy na dobre „przejęci” przez wyzwolicielską armię. Żołnierze wchodzi do ogrodów na gadkę, jakby jedynym celem ofensywy na Lublin była ta niefrasobliwa chwila, przeżywana w atmosferze błyskawicznie zawieranych znajomości. By zostać dobrym żołnierzem nie wystarczy wygrać bitwę. Trzeba jeszcze zakurzyć papierosa. Idą w ruch kawalki gazety na owijanie tytoniu, o czym się później do przesytno nacytam w drukowanych wspomnieniach frontowych.

Jakieś to niewiarygodne. Nie będzie już łapanek, rewizji, „sztraify”. Niewiarygodniejsze: nie ma już. Pierwsze „już” po pięciu latach. Wszystko niby to samo, a jednak w zasadniczej swej istocie całkowicie inne. Kiedy się spotyka znajomego, wita się go wewnętrznym odruchem zdumienia jak osobą „odnalezioną”, jak pływaka, który na dłuższy czas zniknął pod wodą i w niespodziewanym miejscu wychynał. Zacznie się wszystko od nowa. Stajemy przed tą próbą nowości niepewni jej wymagań, z jakąś niejasną treścią. Było — tragiczne i wiadome. Jest — niewiadome, ale radosne...

Zygmunt Mikulski

Zdjęcia ludzi z MANIFESTEM...

Andrzej K. Piwowarczyk



...ilustrują prace historyczne na temat początków Polski Ludowej, zdobną artykuły roznikowe, potwierdzają rozpowszechnianie druków z tekstem Manifestu. Dzisiejsze zdjęcia prasowe i dokumentalne są sygnowane nazwiskami fotografów lub przynajmniej inicjałami agencji. Zdjęcia z Manifestem stały się już publiczną własnością i bywa, że nie podaje się źródła pochodzenia. Dobrze znamy właściwie tylko dwie fotografie dokumentujące dwie wersje Manifestu — chełmską i lubelską. Pierwsza jest skromna, wykonana w drukarni „Zwierciadło”, druga zdobna barwami narodowymi i orłem. Oryginalne negatywy są przechowywane, jak się wydaje, w pierwszym przypadku w Archiwum Zakładu Historii Partii, w drugim w Wojskowej Agencji Fotograficznej. Powstaje pytanie — gdzie i kiedy wykonano te zdjęcia? Bo na pytanie, kto je wykonał brakuje odpowiedzi, lub jest to tajemnica agencji.

W pierwszym przypadku mówią nam o tym druki sąsiadujące z Manifestem. W prawym górnym rogu widnieć fragment druku adresowanego „Do mieszkańców miasta Chełma”, który niewątpliwie nie był kolportowany poza miastem. Poniżej daje się rozpoznać „Cennik artykułów spożywczych”, uchwalony przez Tymczasowy Zarząd Miejski w Chełmie 26 lipca 1944 r. A więc jest oczywiste, że zdjęcie zostało wykonane w Chełmie po tej dacie. Tożsamość osób nie jest stwierdzona.

Zdjęcie z lubelską wersją Manifestu, której nakład wystarczył i na rok 1945, dość długo było zagadką. Rozszyfrowali ją jednak dziennikarze z „Żołnierza Polskiego”. Jak wynika z ustaleń, Manifest czyta Jan Gabrowski, obecnie zamieszkały w Pałczu, woj. bydgoskie, którego w marcu 1945 r. w Bochni lub w innym mieście w pobliżu Krakowa ktoś sfotografował. Tak powstało drugie zdjęcie — symbol.

W 1969 r. na fali obchodów 25-lecia PRL przyszły wiadomości o dwóch zapomnianych afiszach z Manifestem. W drukarni radzyńskiej odnaleziono afisz w sposób oczywisty wzorowany na wydaniu chełmskim, wykonany — jak się wydaje — na zamówienie wojskowego aparatu partyjno-wychowawczego¹. W archiwaliach Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej odkryto czwarty z kolei afisz, którego cechą charakterystyczną jest trzyszpaltowy układ tekstu². Przyjęto przypuszczenie, nie poparte żadnym argumentem, że był on wykonany na zamówienie PKWN-u w Moskwie. Dla kogoś, kto miał w ręku pierwsze druki Polski Ludowej, wydaje się jednak możliwe, że ten druk został wykonany, podobnie jak pierwszy numer „Rzeczpospolitej”, w wojskowej drukarni polowej — papier i krój czcionki wydają się podobne.

Zdjęcie z egzemplarzem wydania radzyńskiego jest także w zbiorach WAF-u. Mundury żołnierzy wskazują wyraźnie, że było to lato, należy domniemać — 1944 r. Nic więcej nie da się powiedzieć i o następnym zdjęciu reprodukowanym z albumu „Der zweite Weltkrieg. Eine Chronik in Bildern”, wydanym w NRD przez Deutscher Militärverlag w 1967 r. Najprawdopodobniej pochodzi ze zbiorów radzieckich.

¹ (gól). W radzyńskiej drukarni. Kurier Lubelski. 1969 23 04 s. 2.

² K. Janczykowski, Z dziejów Manifestu PKWN. Chłopska Droga. 1969 nr 5:30 s. 5; E. Olszewski, Manifest PKWN. Z Pola Walki. 1979 nr 1.

Kiedyś i teraz

POEZJA lubelska. To prawda, że nie wymawia się tych słów jak tytułu rozdziału z historii współczesnej literatury, ale pobręka ją przecież nutą dla siebie charakterystyczną, a miastu bliską. Bo nawet tejsze poezji potknięcia piszą jej rodowód o określonej przynależności do miejsca. Lubelskość lubelskich wierszy da się w nich odczytać zawsze, niezależnie od tego, jakiego lotu poetycki temperament je stworzył.

I nie chodzi o samą „swojskość”, o „domek ciasny, ale własny”. Do tego wystarczyłaby mechaniczna izolacja od literackich procesów w Polsce na przestrzeni tych lat bez mała pięćdziesięciu, jakie prezentuje niniejsza stronica. Poeci Lublina zawsze mieli żywą orientację odnośnie zjawisk mających miejsce w kraju, próbowali jednak wobec nich zająć postawę własną, a przecież i nowatorska. Nie do pominięcia jest tu „Reflektor”, Czechowicz, plejada młodych startujących w okresie powojennym już poza Lublinem, ale przez lubelską atmosferę poetycką ukształtowanych.

Miała też ta poezja swój „okres burzy i naporu”. Było to w latach dwudziestych, kiedy grupka ambitnej młodzieży literackiej startowała do nowej państwowości i do nowych zadań czekających postępowe umysły w kraju. Do dziś jeśli nawet z niejaką przesadą wspominamy ten czas zastępy już w gablotach, czynimy to z uszanowaniem dla genealogii własnej teraźniejszości, bo przecież energiczne zamiary i dzieła były wówczas podjęte. Kto wie, czy i nie przykładnie dla generacji późniejszych. Nie raz zdarza się im przymrużenie oka na staroświeckość. Ale to nie brak inwencji formalnej w tej „staroświeckości” się wyraża. Raczej pewna konsekwencja tonacji kształtująca poetycki lubelski przez czas dłuższy, niż niejedna krótkotrwała moda.

Kiedy z perspektywy czasu patrzymy na dorobek tych lat, widzimy, że przeważają w nim elementy spontaniczności, uczuciowości nawet autobiograficzności, że typ wiersza jest natury bardziej

muzycznej, niż plastycznej. Nie o architekturze, ale o muzyce musimy mówić w odniesieniu do awangardowego przeciw Czechowicza. Ta awangarda nie miała nic z zimnego konstruktoryzmu, nic z kunsztownego snycerstwa wyszukanych, ale uczuciowo mało nośnych metafor. Nawet ten oryginalny nowator do końca swej twórczości zachował wierność „lubelskiej tonacji poetyckiej” — niezależnie od kontaktów z całą różnorodnością ówczesnych zjawisk poetyckich w Polsce.

Znaleźli się krytycy, którzy z tej racji usłyszeli w jego wierszu „leńtawiczowskie nutki”. Nie jesteśmy na tyle zarozumiali, by odrzucać się od wpływu ówczesnie zafascynowanych warunków gospodarczych, które z pewnością się tu wyraziły, analogicznie jak w twórczości ludowej, ale nie możemy nie podkreślić, że ów mankament „technicyzmu” był równocześnie silnym argumentem na rzecz regionalnej spójności tej poezji. I chyba owa spójność tu najdłużej się zachowała.

Mają też: była jedną z najpoważniejszych pobudek reaktywowania życia literackiego po wojnie. W latach bezpośrednio powojennych stało się widoczne, że poetycki charakter lubelski nie wyczerpuje się całkowicie w swej tradycji i domaga się kontynuacji za pośrednictwem aktualnych spełnień. Było to wstępem do rozpoczęcia starań o wznowienie „Kamenu”, która się rzeczywiście pojawiła, by dojść do pozycji najstarszego w Polsce pisma o charakterze ogólnokulturalnym. Nie będzie przesadą powiedzieć, że żyła się przede wszystkim poezją, że przede wszystkim z ducha poezji wywodziły się jej zasadnicze redakcyjne zamiary.

Przyszli młodzi. Dodajmy, że na miejsce innych młodych, którzy odeszli, jak np. Kamińska, Hartwińska, Sikirycki. Normalna prawidłowość sztafet pokoleń sprawiła, że wiele wartości pozostało w nobilitym, ale nie uczęszczanym panoptikum, skąd je na światło dzienne wyniosła okoliczność publikacji „Wczoraj i przedwczoraj” Bielskiego. Nie oznacza to jednak, że nastąpiła jakaś re-

cydywa poetycka. Na tym terenie bieg życia ukazuje szczególnie wyraźnie swa nieodwracalność i tylko zjawiska wykraczające poza wymiar swojego czasu — co nie oznacza: wyizolowane z historii — są w stanie pozostać w pamięci. Na plan weszła aktualność.

Lublin jest miastem, w którym pojęcia „młoda poezja”, „najmłodsza poezja” mają swoje określone desygnaty. Wyraża się to publikacjami książkowymi, drukiem w czasopiśmie, inicjatywami organizacyjnymi. Jest tu wiele zorganizowanych środowisk twórczych grupujących młodzież czynnie zainteresowaną poezją. Spośród nazwisk wymienić można Józefacką, Lukowskiego, Kawalke, Makarskiego. Jakże kontury przybierze w przyszłości młoda poezja Lublina? Lublin dawniej to miasto prowincjonalne, obszar nastrojów przygnębienia i resentymetu. Lublin dzisiaj to miasto nieustannie rosnącego przyrostu demograficznego, coraz bardziej unowocześnianego przemysłu, nerwowych procesów cywilizacji współczesnej. I tu zanika wspólny mianownik miasta, powstaje wspólny mianownik czasu. Do tego stopnia, że w odniesieniu do dnia dzisiejszego traci aktualność określenie zawarte w wstępie niniejszego tekstu, a mówiące o dającej się łatwo wyodrębnić specyfice wierszy powstałych w Lublinie. Tak. Nie ostatnim orukiem nawet nieśmiertelnej poezji jest to, że nie przepycha nachalnie swoich melodii przez wszystkie czasy.

Ale i nie należy się spodziewać, że jakiegokolwiek pokolenie, jeśli zechce zachować dyspozycję wartościowych osiągnięć twórczych, będzie mogło zrezygnować ze służby pięknu objawiającemu się wprawdzie pod różną postacią, ale zawsze jednakowo istniejącemu jako asymptota wszelkiego artystycznego słowa. Jeśli tej sprawie przyczynimy się choć zlatkami piasku, choć jednym wierszem w życiu napisanym, wielka jest nasza zasługa, poeci”. To napisał Czechowicz.

Józef Czechowicz

widzenie

wiatr wieści niósł a magiczna szła noc
między grube kominy elektrowni
ile słońc ile słońc
niepodobnych

miasto było ze złota że jarzyły się jezdnie
blask siarkowy płynął po ścianach
wielki świecie
natchnienie zachwycenie ją weźmie
a ona kłęczy milcząca panna

chwila chwalebna żywa
i oni smugi żalu
palce splecione rozrywać
wczoraj dziś nazajutrz

sily mądre musują w złotym metalu
stronami grzmi spiż
światło pęka olfniwa
myśli astralne lądy
pojęcia kształty widma świętyń
kaukazami się wałq

i nagle
krzyż
i nagle
uboga łączka niebo kaczęce zalewy
dzieciaki w latanych ubrankach grają w
kamieniu

jedno takie lniane mówi mam osiem
najmłodsze ujrzało pszczołę
wodzi spojrzaniem
czarnobrewy
serafin zamyka widzenie
pod czołem

panna kłęczy jak dawniej w złotym chaosie
w tym mieście i nocą widno

lecz wszechstających się hipostaz
co jest jedyną dźwignią

palce splecione rozrywać
wczoraj dziś nazajutrz
spadnie ciężka pokrywa
raju

Kazimierz Andrzej Jaworski

Gazele

VI
Parostawiał lipiec stoły — jak pogardzić gościnnością!
Słońce, kwiaty, trzmielce, pszczoły — jak pogardzić
gościnnością!
Rozciągnijmy się na trawie, wzrokiem pijąc dal otwartą.
Chmur wołają nas anioły — jak pogardzić gościnnością!
Płynimy z nimi przez głębinę w przestwór siny niebną kartą.
Ziemia sprasza ciał popioły — jak pogardzić gościnnością!

XII
Słońce, lipa, pomruk pszczeł — Kochanowski się
uśmiecha!
Kartka się przede mną bieli — Kochanowski się uśmiecha!
Czarnolasem pachnie ogród. Dzień niebieski, znajny,
złoty.
Czują: w wiersz się wszystko wcieli, Kochanowski się
uśmiecha!
W serce rzewność splywa cicha. Cyf! To kroki mej Doroty?
Nie, to tylko rytm gazeli. Kochanowski się uśmiecha!

XV
W uszach werset brzmi Hafiza: „Twój, dopóki sił mi
starczy”.

Sęp mych ust nad tobą zwiśa — twój, dopóki sił mi
starczy.
Golqb tych usteczek ciepłych rad na cios śmiertelny
czeka.
Szept mój pierś twą rozkołysał: „Twój, dopóki sił mi
starczy”.
Serce, serce! Wstyd tkliwości: głupia łza z policzka
ścieka.
Raczej ostry wzrok jak spisa — twój, dopóki sił mi starczy.

XVI
Wiersz za wierszem z ust twych płynie. Nie przerywaj,
moja miła!
Tęmy dalej w słów gęstwinie. Nie przerywaj, moja miła!
Każdy wyraz rzeźbisz sprawnie, że pulsuje, że jest żywy.
Głos twój z prawdą się nie minie. Nie przerywaj, moja
miła!
Oto czytasz: „Czemu cieniu...” i uderzasz w ton właściwy.
Wicher wyje przez pustynię. Nie przerywaj, moja miła!

XIX
Liść za liściem się odrywa, ale jeszcze nie ostatni.
Dzień za dniem w otchłanie splywa, ale jeszcze nie
ostatni.
Jednak śledzę z niepokojem, jak wskazówka się porusza,
Jak się śniegiem włas pokrywa, ale jeszcze nie ostatni.
Jeszcze słońce mnie na niebie i twej twarzy słońce
wzrusza,
Jeszcze wiersz dłoń pisze żywa, wiersz, lecz jeszcze nie
ostatni.

Konrad Bielski

Dytyramb szatański

Patr — oto idą tłumy znowu na Golgotę.
Na Boga. Cóż się stało. Chrystus śmiał się z
krzyża.
Trwogą zdjęci uczniowie zanosili skargi
do Ojca. Piotr przerażon zaparł się raz
czwartym.
Łotr na krzyżu odwilżyć chciał splecione wargi,
wina pełen roztruchan podał mu czarty.
Trzeciego dnia zmartwychwstał Judasz
Iskariota
i poszedł do Emaus, gdzie chciał spotkać Pana.
W wieczniku zebrała się miejska hołota,
śpiewali dzikie pieśni, hulali do rana.
Magdalena swe piersi jędrne w błędnym szale
krwawiła, skruczęc czyniąc u stóp Kaifasza,
a Tomasz nawet wtedy nie chciał wierzyć wcale
i sprawdzał siną pręgę na szyi Judasza.
Na ziemię z nieba upadł calun obłąkańczy.
Hejże, będziemy płącać. Niech zabrzmią
tympany.
Patr — nawet stare słońce cieszy się i tańczy.
Niebiosza oszalały. Sam Bóg jest pijany.
Zbudź się Piotrze. Z tajemnic już spadła
zasłona.
Zagróż wzrokiem zamglonym bezmyślnie i
wiernie.
Uwierz wreszcie, Tomasz. Patr — Chrystus
nie kona.
Wywal gwoździe i z głowy swojej zrzucił
ciemie.
Śmieć się Matko Bolesna, tak jak Syn się
śmieje.
Józefie, w górę kielich, porzuć warsztat pracy.
Niewiasty, niech wasz taniec zbudzi Galileę,
w wieczniku już przecież uczują pijacy.
Magdalena, rozplmień pocalunków żary,
wylej na biesiadników wonności amforę.
Rzesze, tłumy, uczniowie, szalejcie bez miary,
przeklinajcie-że miłość, cnotę i pokorę.
Tan wasz dziki, obłądny piekła nie zatrwoży,
Nie oślepi Duch Święty światła manifestem.
Nie przeklnia was Jehowa, nie zbawi Syn Boży.
Bogów nie ma, zła nie ma, was nie ma.
Ja jestem!

Jerzy Pleśniarowicz

lublin kiedy we mgle

lipowa
ulica taka
bystrzyca jak szpilka wpięta
w łq szarozielony plakat
lustra kałuże ze srebra
księżycy owal
galop pracy motorów
dymy wysoko grzyw
spóźniony pociąg wieczoru
dworzec może oddali o grzyt
pięść tak zaciśnięte damy
ptak ciemności łopot skrzydłami

plaszczą jak murem rudej mgły potop
przedmieście wędną bukiety lamp
cienie jak koty
do bram

młodość
mgła
ze szkła

Stefan Wolski

Wakacje

W wielkim porcie wakacji
łodzi rybackich pochody
spią wzdłuż piasków w horyzont
i las ukośny w cumulus
na lewo zieleń rozchwije
Słońce ich stroje prasuje
nawet koronki przy brzegu
w blaskach uśmiechach westchnieniach
czasem w pomruku okłasków

Kiedy lina stalowa z łodzią na uwięzi-
poruszy bosą stopą
liźnie ją fala i umknie
jaśniejsza o jeden śmiech słońca
i to będzie właśnie dzień dobry
Wtedy przekraczam granicę
za której lipcowym progim
wylącony z biurka i krzesła
mój bieg jaloowy turkocze
dnia pogodnego paszący się kucyk

Ech łodzie
życiwe delfiny Bałtyku
jeden drugi trzeci
a ja z obiektywem widzenia
z myślą na muszce metafor
z tym moim urlopem na plecach
i z tubą „solaris” w kieszeni
I ciągle notes jak trąbka na zbiórce
ach ciągle notes
w nim także przyjazne delfiny

O nogi moje nogi
po co się włoką w te skalne ustronia
nogi uparte przez cienie
jutrzejszych zamysłów i stronice
przez liny zdań jeszcze szorstkich
wsród słów suchych rozwisów
a przecież ciągle bite biciami antystartów
w przemarszu brzegu
nogi powratów z łowiska
gdzie kaptur od deszczu zsunięty
na sztorp oratio obliqua

Oto wicher cwołuje wzdłuż czasu
w zaprzęgu ogromnej przestrzeni
a ty mnie bierziesz za rękę
o mój długopis nieładny
I dokąd to dokąd
tą drogą ostrą jak brzytwa
między głazami koncepcji
na których tyle już gwiazd się zacięło
w płytych zatokach spoczynku

Ech nogi nogi nogi
oczy wichry i pióra
wystarczy rękę cofnąć od owocu
i z wielkiej korony tworzenia
każdy sen da się odepchnąć natychmiast
Ech głupie moje ręce

Tak miją dzień złotoskrzydły
życie o słońca łuk dłuższe
Mój kucyk lecący nad głębią
za nim wolniutko nadąga

O moje mądre zielone i modre
słoneczne bałtyckie

Maria Józefacka

list z modrzewiem

świętemu krzysztofowi z kazimierza

wzgórza buzują resztką żaru gałąź
wiatru roztrąca ognisko wisły zbieg
w okoliczności
szczerze nieprawdziwe

nawróć czas namotaj rzekę
na źródło nawiń
głód pragnienie
na deszcz

II.
codziennie wracam pod tę samą górę
jaka tam góra
nic jej nie przybędzie z moim wędrowaniem
codziennie bardziej ciężą głowa kamień
rozpalony

na szczycie góry
modry
modrzew

w studni wieczoru miast ochłody
zaczepnąć pełne wiadro ognia

III.
nie znam tego człowieka przygarbiony
siedzi na brzegu pomostu kiedy go mijam
odwraca głowę
jego spojrzanie
idzie za mną
jak gdyby lepiej ode mnie wiedział dokąd
podajam

IV.

nogi z kamienia
rzeka
jakiej nie przebmąć
dlaczego mnie wybrałeś
dlaczegoś mi zaufał
że cię choćby ponad własną śmiercią
przeniosę

V.

no tak
wznosić górę dzień po dniu
i swój kamienny z wysoka upadek
dzień po dniu budować

no tak
u szczytu modrzew jak świecznik
z chwylimym pomyślnym nowiu
przychodzisz
skąd

VI.
rysy jak w plaskorzeźbie
zatarte
skóra koloru drogi
pięść
jakbyś w ciszę zatrzasnął
krzyk

tu głębia nieruchomieje
miara ciężaru miara podjęta nieogarniona
a rzeka jest noc teraz
krzysztof dziecko unosi w ramionach
skąpy wietrzają góry kruszą się osypują
rośnie człowiek

VII.
jak staroświecki zegar to miasteczko
zapobiegliwe wśród pozorów trwania
więc głąb
w miedze się wplątać i w zielska zawiałość
czuwać

aż wzdórza nagły wiatr rozchylił
po rzeki połysk
i po zapach rybi
twarz kryje w dłoniach
a słońca je liże
czule
jak sukca
Wiersze Józefa W. Zięby i Mariana J. Ka-
walki drukujemy na str. 13.

Zabytek klasy 1944

Ireneusz J. Kamiński

KARTKI są szare, żółte, rzadko różowe. Maszyny, przy których pomocy je zapisano, nie miały liter „e”, „ó”, „ń”. W rękopisach wymapać można błędy ortograficzne i interpunkcyjne, a teksty niewiele mają wspólnego z urzędowym, skonwencjonalizowanym porządkiem, są ekspresyjne i zwięzłe: chodzi o taką to, a taką sprawę, nie mamy czasu na ukłony, w ogóle nie mamy czasu, pomóżcie albo dajcie nam spokój, damy sobie radę, jeśli dostarczyć samochód... Na odwrocie, który jeszcze kilkanaście tygodni temu był prawą stroną, rewersem, panuje natomiast klasyczny ordnung: w geometrycznych rubryczkach z niemieckim nadrukiem zamknięto polskie nazwiska.

Zofia Przybylska, krasnostawski pełnomocnik dla spraw ochrony przedmiotów o charakterze artystycznym i zabytkowym, informuje Wydział Kultury i Sztuki przy Urzędzie Wojewódzkim w Lublinie, że między 15 października a 15 grudnia 1944 roku wyjeżdżała w teren w celu zabezpieczenia zabytków. Była w Bończy, Krańcuzynie, Orłowie Drewnianym, Stryjowie, Surchowie, Siennicy Różanej, Krupem, Wierzychowinach, Tarnogórze, Ostrzycy, Piaskach Szlacheckich, Woli Żółkiewskiej i Zabnie. Tylko w majątku Stryjów natknęła się na przedmioty artystyczne, które zabezpieczyła. Z kilku innych majątków przewieziono przecież do Krasnostawu 17 skrzyń książek — 2150 tomów — które przekazano specjalnej komisji do segregacji i oceny książek przy Inspektoracie Szkolnym. Informacja ta dotarła do Lublina na odwrocie „Nakazu dostawy kontyngentów”, sformułowanego w trzech wersjach językowych: niemieckiej, polskiej i ukraińskiej. „Auforderung zur Ablieferung der Kontingente” zawierał krótki komentarz: *Posiadacze lub kierownicy przedsiębiorstw, którzy nie wypełnią swego obowiązku odstawienia lub wypełnią go niedostatecznie, winni się liczyć z następującymi karami: wysoką grzywną; wywłaszczeniem z całego swego inwentarza; przymusowym wymłóceniem; wywłaszczeniem z całego majątku i przetransportowaniem do obozu pracy lub obozu koncentracyjnego; karą śmierci.*

Na obiecującym śmierć blankiecie hitlerowskiego państwa, które zniszczyło ponad 32 tysiące obiektów kultury polskiej, pani Zofia Przybylska z powiatowego miasteczka potwierdza istnienie opieki ludowej Polski nad dokumentami tradycji artystycznej. Ten pozółki świełek papieru — takie symbole aranżowała wówczas historia.

Resort Kultury i Sztuki powołała ustawa Krajowej Rady Narodowej z 21 lipca 1944 r.; na jego czele stanął Wincenty Rzymowski, działacz Stronnictwa Demokratycznego. Kilka tygodni później, 15 września, dekret PKWN skonkretyzował zadania Resortu, powołując m. in. Wydział Muzeów i Konserwacji Zabytków. Kolejne rozporządzenie, z 5 października, głosiło, że tworzą się przy urzędach wojewódzkich wydziały kultury i sztuki, zaś przy starostwach powiatowych (gromadzkich) referaty kultury i sztuki. Wydziały wojewódzkie podzielono na referaty — na wzór struktury organizacyjnej Resortu. Ta droga powstał Referat Muzeów i Konserwacji Zabytków w Wydziale Kultury i Sztuki w Lublinie, którego pierwszym kierownikiem mianowano inż. Zygmunta Knothe.

W tym czasie: osiemnastowieczny pałac Potockich w Radzyniu — spalony; „dom gdański” w Kazimierzu — spalony, spichrze bez mierzwi; bóżnica bez stropu; kilka-

naście XVII — i XVIII-wiecznych kościołów Lubelszczyzny — w ruinie za sprawą działań wojennych; zespoły zabytkowych domów między ulicami Szambelańska, Bramowa i Olejną oraz między Bramową, Rynkiem i Jezuicką na lubelskim Starym Mieście — spalone i częściowo rozebrane; katedra lubelska — spalony dach i helm na północnej wieży, rozbity portyk i sklepienie akustyczne zakrystii; zabytkowe dwory w Łęcznej, Czemiernikach — zdewastowane; spalony w 1933 pałac Firlejów w Lubartowie — „wykończony” przez Niemców; rezerwy jodłowe w Jacie i Toporze u źródeł Krzny — prawie całkowicie zniszczone...

Cóż można było zrobić z tym pejzażem ruin, którego drobny za-

szaber. Z pałaców nikały cenne obrazy, rzeźby i ceramika, aby szybko pojawiły się w kantorkach wyrastających jak grzyby po deszczu komisów. Sporo dzieł trafiło do dyskretnych schowków, w oczekiwaniu lepszych czasów.

W tej sytuacji Resort Kultury i Sztuki wydał we wrześniu specjalną instrukcję, polecającą starostom natchmiastowe mianowanie pełnomocników dla spraw ochrony przedmiotów o charakterze artystycznym i zabytkowym, którzy mieliby nawiązać kontakt z pełnomocnikami dla przeprowadzenia reformy rolnej w celu uczestnictwa przy parcelacji majątków. Powinni oni gromadzić wspomniane dzieła sztuki i rzemiosła artystycznego w wybranych dworach oraz mianować kustosy tych prowizorycznych składnic muzealnych.

Rezultaty tej akcji okazały się jednak co najmniej skromne, po dwóch tygodniach od chwili wysłania instrukcji do powiatów zaledwie w sześciu powołano pełnomocników. Na niższych szczeblach władzy brakowało odpowiednich ludzi, a i potrzeby egzystencji były na tyle wielkie i palące, że przytłaczały sprawy kultury artystycznej. 15 grudnia Starostwo Powiatowe w Łukowie informowało Urząd Wojewódzki, że nie mianowało dotąd pełnomocnika, ponieważ nie może znaleźć kandydata, a referent kultury i sztuki poza normalną pracą wykłada w trzech szkołach średnich. Przy okazji zapytuje, czy przewidziano diety służbowe dla ewentualnego pomocnika, jeśli znajdzie się i zacznie jeździć w teren? Czy meble z opuszczonych majątków można przewozić do domów przeznaczonych na domy wczasowe? Starostwo nie orientując się zbyt mocno w problemie ochrony zabytków, wysłało jednak nakazy umieszczenia tabliczek opiewających ochronę tych zabytków, podobnych, jakie nakazaliśmy umieścić w parkach pięknie prowadzonych i przy godnych pieczy starych drzewach.

Jeśli nawet uznamy, że efekty akcji były skromne, to przecież

ustawy i zarządzenia naczelnych władz państwowych i politycznych. Z masami bywało różnie, co można zrozumieć i usprawiedliwić tylko w kontekście tamtych czasów: rewolucji społecznej i ustrojowej, toczącej się jeszcze wojny i wszystkich niedostatków, które ona powodowała. Oddajmy jednak głos naczelnemu świadkowi, który 7 października 1944 roku pisze do Resortu Kultury i Sztuki w Lublinie:

W pałacach majątków przeznaczonych na parcelację na terenie powiatu lubartowskiego znajdują się liczne biblioteki i przedmioty o charakterze artystycznym i zabytkowym, np. w Kozłowie. Wskutek braku zrozumienia dla ich bezcennej nieraz wartości wśród szerszych kół naszego społeczeństwa, często są one narażone na zniszczenie z powodu braku odpowiedzialnej nad nimi opieki. W związku z tym proszę o stworzenie w Lubartowie punktu opieki nad zabytkami znajdującymi się na terenie powiatu. Zadaniem punktu byłoby zwrócenie zabytków i ksiąg, inwentaryzowanie ich oraz stworzenie muzeum powiatowego.

W dalszym ciągu listu autor prosi o powierzenie mu funkcji kierownika ewentualnego punktu, lub zatrudnienie w charakterze zwykłego pracownika. Ma 26 lat, świadectwo maturalne i zamilowania literackie, ponadto zna pracę bibliotekarską, ponieważ prowadził bibliotekę w gimnazjum i organizację młodzieżowych. Przed wojną był również współpracownikiem Rozgłośni Pomorskiej Polskiego Radia w Toruniu i czasopism młodzieżowych... Jeśli Muzeum w Lubartowie chce wiedzieć, kto był jego ideowym inicjatorem, oto nazwisko autora korespondencji: Jerzy Kochanowski.

List nie pozostał bez echa. Ówczesna szefowa Wydziału Muzeów i Ochrony Zabytków Resortu przysłała go — „do załatwienia” — Wydziałowi Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, szkicując równocześnie na ponie-

czy rzeźby. W lutym 1945 r. powiatowy referent kultury i sztuki donosił z Zamościa, że *Spisy z innych majątków (poza Sulowcem, Podzamkiem i Michalowem — uw. aut.) zostały zagubione przez wyznaczonego pełnomocnika w czasie dokonanego na nim aktu rabunkowego. Brak środków transportu i odpowiedniego lokalu uniemożliwia zmagazynowanie dzieł sztuki w Zamościu, a tymczasem dochodzą do nas wiadomości, że przedmioty mogą być zagrożone przez rabunki. Jeśli starostwo nie zmobilizuje wszystkich środków, potrzebnych do zabezpieczenia, nie przyjmuję odpowiedzialności za całość tych rzeczy.*

Zdarzało się, że zabytkowe meble przechodziły na wyposażenie wojska. Autorytet munduru wcale nie powstrzymywał pełnomocników przed składaniem energicznych protestów. Po zabraniu mebli z majątku Stryjów przez jakąś samodzielną brygadę artylerii, „Opiekun Ochrony Zabytków” i „Pełnomocnik Reformy Rolnej w pow. Krasnostaw” spisali odpowiedni protokół, stawiając wniosek o przekazanie tej sprawy generałowi Roli-Zymerakiemu.

Czym dysponował w tym czasie inż. Zygmunt Knothe, kierownik Referatu Muzeów i Konserwacji Zabytków w Wydziale Kultury i Sztuki w Lublinie? Zarządzeniami i energią przede wszystkim. Środkami finansowymi na ochronę zabytków były co najmniej szczupłe, kadra nieliczna. W tych warunkach inż. Knothe przystąpił do ewidencjonowania obiektów zabytkowych, także parków i alei, przeprowadzał lustracje terenowe, przenoślił dzieła sztuki do powstałych właśnie Państwowych Ośrodków Muzealnych w Kozłowie koło Lubartowa i Oleśnicy koło Janowa Podlaskiego, uczestniczył w organizacji pierwszych po wojnie muzeów lubelskich, gromadził materiały do katalogu zabytków — przy pomocy referentów powiatowych. *Praca jest utrudniona przez trudności lokomocji i brak kredytów na wyjazdy.*

Bez mała świętem narodowym stał się moment odnalezienia „Bitwy pod Grunwaldem” Matejki, przejętej przez państwo w październiku 1944 r.; poważnie zniszczone dzieło nadawało się jednak do konserwacji. Zachowała się ciekawa korespondencja — z późniejszego co prawda okresu — dotycząca właśnie „Bitwy pod Grunwaldem” i „Kazania Skargi”, również przechowywanego w Lublinie, która znakomicie ilustruje warunki i tryb działania służby konserwatorsko-muzealnej w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu.

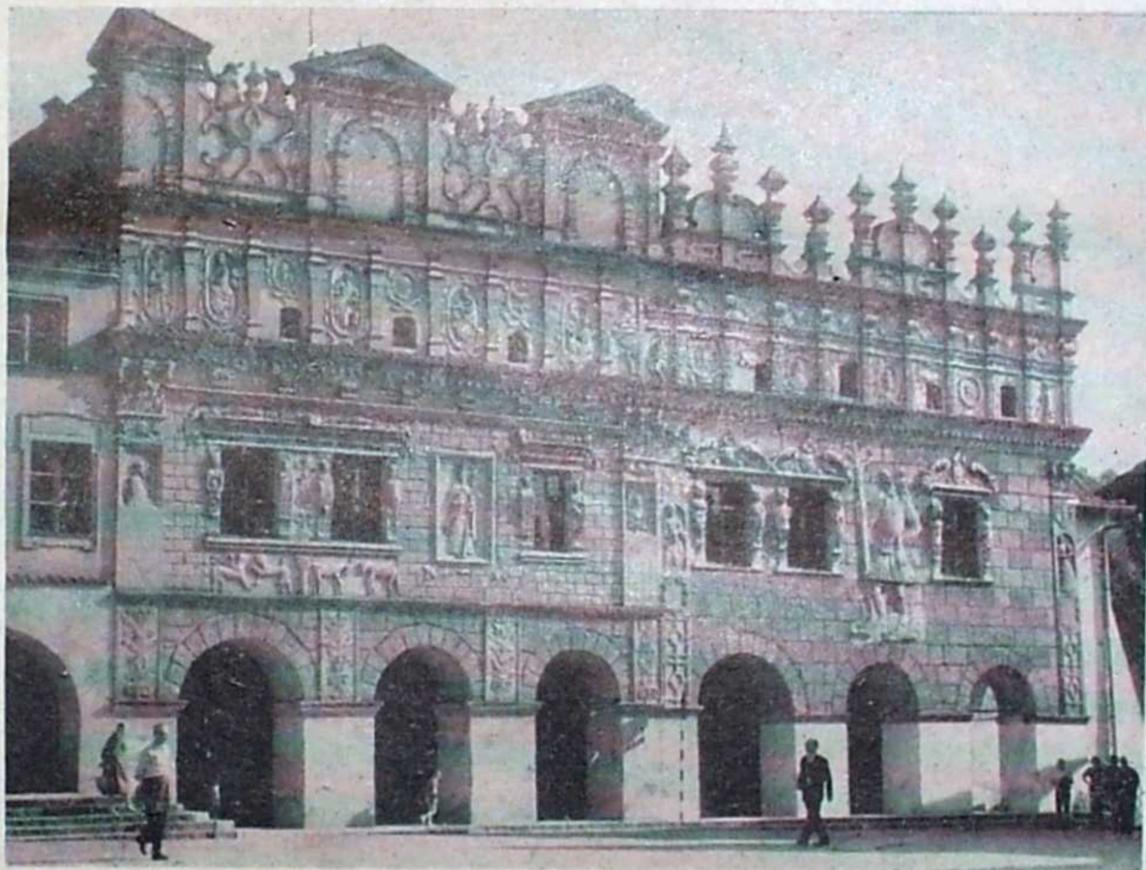
Naczelnym Dyrektorem Muzeów i Ochrony Zabytków MKiS, dr Stanisław Lorentz, 21 kwietnia 1945 r. kieruje z Warszawy pismo do Wydziału Kultury i Sztuki w Lublinie — zapewne w rezultacie otrzymania pewnej denerwującej informacji: *Ministerstwo zarządza otwarcie sali, w której znajdują się obrazy Jana Matejki „Grunwald” i „Kazanie Skargi”, dla sprawdzenia stanu zachowania i ustalenia, czy nie zasły okoliczności, które by mogły wpłynąć ujemnie na ich konserwację. Następnie dr Lorentz podaje szczegółowy opis metody otwarcia drzwi: *gdyby nie można było otworzyć sali kluczem, należy zamek otworzyć wytrychem, potem do drzwi przybić skobele i zamknąć je na kłódkę...**

26 kwietnia do Ministerstwa nadchodzi odpowiedź Konserwatora Wojewódzkiego, inż. Zygmunta Knothe: *Dnia 20 kwietnia br. otrzymałmśmy telefon od Zarządu Monopoli Tytoniowego, gdzie mieści się sala z obrazami Matejki, z prośbą o przybycie na miejsce w sprawie obrazów. Zły stan aparatu (telefonicznego — uw. aut.) spowodował, wobec niedostępnienia szczegółów, plotkę o zagrożeniu obrazów. Z Knothe udał się natychmiast gdzie trzeba i stwierdził dobre zabezpieczenie obrazów. Ale Zarząd Monopoli Tytoniowego bardzo prosi, aby do dnia 1 czerwca br. zwolnić salę, zabierając oba płótna, gdyż jest im ona niezbędnie potrzebna.*

Uplętno półtora miesiąca, inż. Z. Knothe otrzymuje kolejne pismo Naczelnego Dyrektora, którym jest już dr Ksawery Piwocki: *Naczelną Dyрекcyję... prosi o obstarowanie w Dyrekcji Monopoli Tytoniowego walka drewnianego do przewiezienia obrazu „Grunwald” Matejki, według załączonego szkicu. Monopol podjął się wykonać taki walek... Konieczne jest podanie ceny. Rachunek będzie uregulowany przez Naczelną Dyrekcję.*

Jak wynika z protokołu zdawczo-odbiorczego obrazów „Jana Matejki z dnia 7 sierpnia 1945 r., podpisanego przez Jana Chauera, przedstawiciela monopolu, inż. Z. Knothe i Bohdana Marconiego, delegata MKiS, walek wykonano, a płótna na wał nawinięto przetransportowano do Warszawy.

Ten walek, przedmiot szczególnej troski Ministerstwa Kultury i Sztuki, wykonany na jego obstarunek — również i takie symbole aranżowała wówczas historia.



Kazimierz Kamienica Przybyłów.

Fot. Z. Zuga

ledwie fragment udało się uchwycić w tych pierwszych miesiącach istnienia Resortu? Poza doraźnym zabezpieczeniem przed dalszą dewastacją, właściwie nic. Jeszcze: pochylając głowę zanotować w rysunku, jak to zrobił kilka miesięcy później w Warszawie Tadeusz Kulisiewicz.

Roboty przecież było po lokcie, roboty trudnej, nierazko niebezpiecznej, wymagającej przy tym delikatności, wycucia ludzkiej psychiki i niewielkiego choćby nachylenia emocjonalnego w kierunku sztuki. Od początku września rozpoczęła się realizacja reformy rolnej, w poszczególnych powiatach parcelowano po trzydzieści — czterdzieści majątków, spragniony ziemi chłop z rozpędu przekraczał prócz zabytkowych dworów i pałaców, biorąc odwet za wieloletnie przypisanie do upodlenia, nędzy, brudu i trzeciej kategorii człowieczeństwa. W dworach były wygodne łóżka „Biedermeyer”, wielkie stoły, empirowe krzesła, kuchnie pełne porcelanowych statków — rzeczy praktycznie przydatne i bezpieczne. Niedaleko na zachódzie trwał czas wojenny, dookoła zaczynał się czas rewolucyjny.

A jak to zwykle bywa w takich momentach historii, przeroźnego autoramentu cwaniacy ruszyli na

pozwołała ona na uratowanie jakiejś części kultury narodowej, a sam fakt jej uruchomienia wystarczająco dobitnie świadczy o racjonalnym stosunku władzy ludowej do spuścizny w końcu szlacheckiej. W korespondencji do Starostwa Powiatowego w Radzyniu burmistrz Międzyrzecza Podlaskiego donosi, że w majątku Andrzeja hrabiego Potockiego pozostało archiwum hrabiów Branickich z Suche koło Żywca: dziesięć skrzyń z dokumentami z XVI i XVII w. *Niepodobieństwem było spisać wszystkie te rzeczy, gdyż na to potrzeba by było przynajmniej 3 miesiące czasu. Ponadto zachowały się szytechy, uszkodzone w czasie wojny, trzy portrety pedzła Pochwałskiego, fortepian Bechateina i 80 książek. Wszystkie te rzeczy są złożone u ob. Koźmińskiego, który te rzeczy sam wywrał z gruzów i do tej pory przechowuje. Spisu powyższego dokonał ob. Fruziński Gerard z ramienia Zarządu Miejskiego dnia 28.11.1944.*

Ostatnie zdanie kryje pewną prawidłowość, która do dziś nie straciła aktualności, tyle że występuje w innej skali: w dziele ochrony zabytków resort kultury wspomagały przede wszystkim jednostki, ludzie mający żywy stosunek do tradycji narodowej oraz

chanowskiemu. W zakończeniu Joanna Guze prosi o odpowiedź, czy oferta pracy w punkcie została przyjęta przez starostę. Na tym urywają się ślady tej sprawy.

Wyszukanie odpowiednich ludzi i mianowanie ich pełnomocnikami z reguły jednak sprawiło poważne trudności. Kilka razy apelowano do wójtów o zwrócenie baczniejszej uwagi na dzieła sztuki i zabytki architektury, parki oraz księgozbiory, zalecając opracowanie czegoś w rodzaju prowizorycznego rejestru obiektów, którymi powinna opiekować się konkretna osoba. *Może być leśniczy, względnie energiczny członek Gminnej Rady Narodowej — wskazywał Starosta Powiatowy Lubelski w piśmie okólnym do GRN z dnia 3 stycznia 1945 r. Jakież rezultaty apel ten musiał przynieść, skoro pełnomocnik zamojski zanotował: w tych majątkach, gdzie udało się zabezpieczyć przedmioty zabytkowe, znajdują się one pod opieką wójtów gmin, nauczycieli lub komitetów folwarcznych w majątkach.*

Do roli pełnomocników nie było chętnych, ponieważ wypełnianie obowiązków niosło z sobą pewne ryzyko. Szabrownicy nie przebiegali w metodach, zbliżających ich do upragnionego obrazu, sekretary

P O E Z J A

narodów słowiańskich

Z rosyjskiego

Teodor Sołogub
(1863-1927)

Poodychaj jeszcze trochę
Tutaj tym powietrzem złym,
Woju Boży, nędzny prochu,
Topniejący już jak dym.

Cóż dla Stwórcy twe cierpienia?
Kropła życia w morzu lat!
Oto – tylko już wspomnienia,
Oto – już zapomnian świat.

Lecz jak dawniej błyszczą zorze
I jak dawniej gwiazd lśni szlak.
„Płuszcze morze na przestworze” –
Tylko ciebie już tu brak.

Poodychaj jeszcze trochę
Słodkim wiem pól i łąk,
Woju Boży, nędzny prochu,
I jak dymek uleć stąd...

Przełożył: K. A. Jaworski

Andrzej Bięły
(1880-1934)

Piosenka komarzyńska

Szedł sobie koślawiec, szedł nieznaną dróżką –
Cień pełnący rzucił swą koślawą nóżką.

Chmurne roztoczyły się kraje mordwańskie,
Siły - pokuszenia naszyły go szatańskie.

Oto się z koślawcem dziwne rzeczy dzieją:
Step mu się zielony zapienił kipiela.

Cień przemówił do koślawca wielkim głosem:
„Zostaw ze mnie, mój koślawcze, z moim losem.

Bo już mnie zmierzliło życie to ubogie
I moim zwyciężajem w ciemną ruszam drogę”.

I jak wnetki koślawego nie przewróci,
Jak sukmany swej do góry nie podrzuci,

Kulkami leżącego wali, tłucze –
I wyrasta ponad lotną czarną tuczę.

Leci ponad rosyjskimi przestworzami,
Jak nie zacznie w prosty lud ciskać drągami,

Chłopom, diakom, popom, ano popowiczom
Spod nóg wieje się wdałym Wichrem
Wichrowiczem.

Kamena str. 6

A i słowa ma on zuchwale, szatańskie:
„Zaprowadzę ja porządki sobiepańskie.

Będę poił i uguszczał was gorzałą
I brzuszysku na niedoli rość pozwalał.

Chłop ci ze mnie ogromniasty na polegę
I podpieram się debczakiem moim tegim!”

Niby ciemny wiatr podrywa podróznego
Z jego szlaku znaczonego, prawdziwego.

Wiedzie go do karczmy ścieżka krzywa,
A on śwista na harmonii swej i śpiewa:

„Ach ty taki i owaki komarzyński dumiu:
Tylko z drogi swojej prostej do karczmy się
szumij.

Hejże, hejże, hejże, hejże, hejże miły:
W całej Rusi się karczmiśko rozrodziły!”

A i życie nam przypadło głupie, nikczemne,
Tylko wymyślenia nieprzystojne i karczemne.

Przez noc długą pomrukuje w karczmach
Nad Sybirem i nad Donem, nad Niepriadwą.
światło

Cała nasza radość – zobaczyć wędrowca,
Zobaczyć starego wędrowca-koślawca.

Cięgiem bajdy prawi, cięgiem przygaduje,
Wciąż kijaszkiem nam, serdeczny, w dal
wskazuje:

Na to życie gorzkie, zatracone, zgubne
Cień ogromny upadł od stracha na wróble.

Przełożył: Seweryn Pollak

W złociste błaski wierzył,
A zmarł od złocistych strzał,
Myślą wieki przemierzył,
A życie czy znał?

Nie śmiejcie się z martwego poety:
Przyniesie mu lepiej kwiat.
Na krzyżu mym pogięty
Wieniec wciąż targa wiatr.

Kwiaty na wieńcu rozbite
I spełzną kolor wstąg.
Ach, jakie ciężkie płyty!
Któż mi je zdejmie stąd?

Lubiłem tylko zachód słońca
I dzwonu śpiew.
Za cóż ten ból dławiący mnie bez końca?
Za jaki grzech?

Przyjdźcie tu, błagam was –
Na spotkanie wiankiem się rzucę.
Pokochajcie mnie choćby raz.
Ja może nie umarłem, może się ocucę –
Pawrócę...

Przełożył: K. A. Jaworski

Władysław Chodasiewicz
(1886-1939)

Do gościa

Gdy wchodzisz do mnie, sny wnos ciche
Lub diabelskiego piękna pychę.
Lub Boga, jeśliś z Bogiem spojón.
Ale dobroci cząstkę lichej
Jak palto zostaw w przedpokoju.

Tu, na ziarenku ziemi nikłym,
Aniołem bądź lub bądź szatanem.
A człowiek? Jego los jest zwykły:
Żyje, by wnet go zapomniano.

Przełożył: K. A. Jaworski

Jakże wypowiedź bełkocząc w udręce
Ból cały i jad cały?
Język mój stał się ptasim lub zwierzęcym,
Usta zmiłczyły.

I już nie trzeba mi nic na tym świecie,
I wstyd ogarnia,
Ze w jego ogniu sądzona mi wiecznie
Taka męczarnia.

Ze nawet śmiercią dumną, własnowolną
Nic nie pomogę.
Ze taką samą jest, chociaż okólną
Istnienia droga.

Przełożył: Seweryn Pollak

Aleksander Gałow

Dom taki gdzieś na świecie musi być z
Z oknem, gdzie w blasku lampy tyłe jest
oewnością

Gdzie zostaną przyjęty zawsze z gościnnością
Czy w złym, czy w dobrym przyjdę do niego
spokoju,
nastroju.

I gdy do domu tego chory się przywlokę,
Polożę mnie do łóżka w trosce o me zdrowie,
Któż się schyli nade mną, spojrzę czułym
wzrokiem

I lekka dotknij ręką mych zmęczonych powiek.
Dom taki gdzieś na świecie musi być koniecznie,
Gdzie czekają na ciebie wciąż i dniem i nocą.
By powitać przybysza zawsze najserdeczniej,
Kiedy do drzwi zastuka
nagle dniem czy nocą.

Przełożył: K. A. Jaworski

Michał Świetłow
(1903-1964)

Arena

Myszę: młodość i wtedy myślę o arenie,
Dojrzałość mi z areną zmagają się kajarzy.
Tacy wszyscy jesteście. Musim mieć zderzenie
Losu który nas spotka, z treścią naszych
marzeń.

Całą młodość pragnęłam przeżyć z cyrkowcami.
Ta mi życie dopierał! Szczęście najpełniejsze!
A tymczasem wypadła ślepcę mi nocami
Nad kartką, by napisać jakieś swoje wiersze.

Gdy się czuję samotny, o arenie marzę:
Daj mi na oczach widzów obracać się wkoło!
Zazdroszczę kompleksowi wszystkich w cyrku
wrażen,

Jakie ma akrobata, koń czy kłown wesoty.
Zestarałem się. Trapez nie pasuje do mnie,
Przedemną już się ściele szlak emerytury,
Lecz z cyrkowcami chciałbym stykać się
ogromnie,

Pieśń siły i zręczności śpiewać z nimi chórem.

Cyrkowcy! Myśleć o was będę wciąż niezmiennie,
Zeście tacy wspaniali, silni i uroczy.
I zawsze będę marzył o waszej arenie –
Młodości mojej koło wciąż się naprzdąd toczy.

Przełożył: K. A. Jaworski

Z ukraińskiego

O. Olżycz (1909-1944)

Wczoraj za nami zostały mżyste, mroczne bory,
Wczoraj się nam odsłoniła różowa dolina.
Ból sse w stłuczonym ramieniu. Jak wściekłych
psów stony

O miasto walczyła nasza wspaniała drużyna.

Dziwnie, tak dziwnie się stąpa po głozach
Dziwnie dotykać się białej stojącej figury.
I znowu zbliża się chmura, mruczy grzmot
zmęczony.

Druhawie żartują koźle wdzwiewając już skóry.

Przełożył: K. A. Jaworski

Wołodimir Jarynicz
(1938-1968)

Smutno było cięciom,
Ze muszę tylko padać.
A może ciebie chciałby się wznosić?

Smutno bywa skałom,
Ze muszę stać tylko.
A może skały chciałyby pobiegać?

Smutno bywa gwiazdom,
Ze muszę tylko być na niebie.
A może gwiazdy chciałyby na ziemię?

Smutno bywa kwiatom,
Ze muszę tylko kwitnąć.
A może kwiaty chciałyby pośpiewać?

Smutno bywa ludziom,
Ze muszę się trzymać tego, co istnieje.
A może ludziom chciałoby się czegoś,
Czego nie ma na świecie?

Przełożył: K. A. Jaworski

Z białoruskiego

Maksym Tank

Pieśni narodu

Pieśni ptaków
Odlatujących na wyraj
Stają się chmurami:
Pieśni kalin
Zarastają trawą,
Stają się kamieniami;
Pieśni ognia
Spotkawszy się z wiatrem
Stają się popiołem...
Tylko pieśń narodu
Zostaje w ziemi – ziarnem żyta,
W pamięci – łąkami radości,
W sercu – wiosennym słońcem.

Przełożył: K. A. Jaworski

Juraś Swirka

Wy nie piejcie, koguty,
W polu.
Nie wierzycie,
Zem tu tylko gości.
Ten duchowy i zewnętrzny polor,
Choć się bronie, jest go we mnie dość.

Ja odchodzę od wioski, odchodzę.
Gdy pomyśleć,
Serce się ścisza.
Taką stratę musi odczuć każdy,
Taka strata sercu wszystkich bliska.

Choć wciąż miłość do wioski mej czuję,
Nie w niej lato swe spędzam, o tal mi,
Bo przyjeżdżam tu tylko,
Kiedy mama zachoruje,
Albo ktoś z krewnych wstępuje do armii.

Jam dla ciebie
O! – wychodźca, co z miastem się styka.
Jednak przyznam ci się, wiosko – daję słowa,
Ze zaglądam tu jak do słownika,
Aby się upewnić,
Ze piszę prawidłowo.

Przełożył: K. A. Jaworski

Z czeskiego

Vítězslav Nezval
(1900-1958)

Uliczne urny

Moje serce nie zazdrości nigdy nikomu
Nigdy nigdy me serce zdecydowane na
wszystko
Inaczej byś straciło swój kryształowy majestat
Inaczej byś było jak skrzynki do których się
sypie popiół

I zlewa pomyje
Ich ranne pagrzeby przypominają mi licytację
I ulicę przy dworcu
Inaczej byś przestało być moje serce więzią
obserwacyjną
Z której widać wszystkie serca wszystkie okna

Przełożył: K. A. Jaworski

Jaroslav Seifert

Dźwięk bębna

Do fundamentów mi zburzyli dom,
nowy most
rozczesał mokre włosy łal,
pod cieniem ruin
odpoczywa rzeka.

Alkohol lony się zapalił
i pod powłogą
lunatyczne prusaki czekają na czas swój,
gdy tymczasem pająki przędą świeże sieci
dla swego głodu.

Na drugim brzegu lśnią światła szeregi,
domki nędzy,
abym nie rzekł czasami, że to sznury pereł,
i miasto
do ich drzwi dobija się na końcu.

Tworz człowieka,
maska,
wyrzeźbiona nożem bólu
nad talerzem się chyli.

Więc śpijcie,
zahydzone ciała kobiet,
strzała urady
minęła już was na zawsze
i na poduszkach rozkisłych od chorób
śmierć
cierpliwie
czeka.

Dzikię wino
owija tutaj pragnienie żebraków,
przy drodze rośnie cykuta:
tylko gwiazdy,
co kiedyś wieńczyły Petrarce,
dźdzą światłem
na żalostliwy sen.
Nie stąpać tu,
Laura,
białą swą nogą, którą całował poeta,
tej krwi bym nie chciał widzieć
ani placzu.

Niechaj przeniknie tu najrychlej
ryk tłumów,
niech zabrzmi
bęben rewolucji,
aby chleb zawsze pachniał na ich stole.

Przełożył: K. A. Jaworski

Ze słowackiego

Pavel Bunčák

Tęsknota

Napisać książkę
w której by była kropelka mądrości
Książę oceanie góra książek
krynica mądrości
daj mi się napić
daj mi pić
gdy mądrość jest i szczęściem

Tu leżą jeszcze żywy
nie mogą pracować nie mogą spać
bębną a okna puste słowa
pióra bez ptaków
ptaki bez skrzydeł

O miłości pomyślę
boli mnie serce nie miluje
mówi się jeszcze o miłości
o szczęściu się nie mówi
tylko się czasem człowiek rozamięje

Przełożył: K. A. Jaworski

Wartość pracy

Jerzy Dostątni

AWIĘC to już 28 lat. Przez 28 lat budujemy socjalizm w naszym kraju — i na jakim etapie tej budowy jesteśmy dzisiaj? Aby jednak odpowiedzieć na to pytanie, trzeba najpierw postawić inne: czym mierzyć przebyte już i leżące przed nami etapy? Świadomością społeczną? Upowszechnieniem oświaty? Pragmatyzmem koncepcji gospodarczych? Różnicami w statystykach różnych okresów? Zrealizowaniem podstawowych, a może dopiero bardziej szczegółowych celów harmonijnego rozwoju społeczno-kulturalno-gospodarczego?

Każdy z tych mierników wartości posiada swój sens. Wydaje się jednak, że podstawowym kryterium oceny, mieszczącym się w tych wszystkich miernikach, powinien być nasz osobisty i zbiorowy stosunek do pracy. Wszystko inne, co osiągamy, zarówno jako naród jak i poszczególne jednostki, jest i będzie pochodną tego stosunku do pracy. Pośrednią lub bezpośrednio, uznawaną lub nie, zamierzoną lub nie — ale zawsze pochodną.

To, że dla każdego z nas praca przedstawia jakąś wartość, nie ulega wątpliwości. Ale jaką? Co chcemy osiągnąć przez wartość, jaką nadajemy pracy, jakie miejsce zajmuje ona w naszej klasyfikacji wartości? Czy wartość pracy polega na tym, że jest ona celem samym w sobie chociaż daje takie czy inne korzyści, czy też jest tylko środkiem do osiągnięcia innych celów, bardziej dla nas zasadniczych?

Jeżeli praca jest celem istotnym, tworzy wtedy wartość samoistną, polegającą na realizacji własnych zdolności, na tworzeniu jakichś dóbr materialnych lub niematerialnych, na znalezieniu ujęcia dla nie dającej się służyć aktywności, na dążeniu do podnoszenia kwalifikacji itp. Z tym łączy się społeczny aspekt pracy. Człowiek nie czuje się samotny, zamknięty w skorupie ślimaka, ale nawiązuje żywy, bezpośredni kontakt ze społeczeństwem, ze środowiskiem, zdobywa w nim określone miejsce, odczuwa użyteczność własnego istnienia, cieszy się z prestiżu społecznego. W drugim przypadku gdy praca staje się tylko środkiem do zdobycia innych wartości — wysiłek człowieka zostaje skierowany wyłącznie na zdobywanie coraz wyższych zarobków, na osiąganie stałych awansów, urządzenie sobie coraz lepszego mieszkania, kupowanie coraz bardziej luksusowych przedmiotów itd.

Zarysowana tu linia podziału jest, oczywiście, w pewnym sensie umowna. Albowiem podane motywacje — samoistne, społeczne, materialne — w

praktyce występują w połączeniu, przenikają się wzajemnie i jest to zjawisko normalne. Nikt nie jest skazany na jednostronność, nikt nie musi być bohaterem, pozytywnym czy negatywnym. Będąc wartością nadrzędną, praca musi dawać w konsekwencji inne wartości, także materialne. Chodzi tylko o to, co w naszym postępowaniu jest motywem decydującym, co przeważa w chwilach nieuniknionych konfliktów, co generalnie kieruje naszym postępowaniem. I to nie w formie deklaracji, słownych zapewnień, pozornie chociażby najbardziej wzniosłych, ale co przejawia się w czynach codziennego życia, w rzeczywistym przekonaniu wewnętrznym.

Dzisiaj, gdy świat coraz szybciej pędzi naprzód, gdy w formach bytu narodów dokonują się z jednej strony rewolucyjne przemiany społeczne, a gdy z drugiej nabiera rozpędu rewolucja naukowo-techniczna — określenie celu życia i motywów działania ma coraz bardziej doniosłe znaczenie. Albowiem ani jedna ani druga rewolucja nie przyniesie pożądanych efektów, jeżeli nie będzie nimi kierował człowiek bogaty wewnętrznymi motywami działania, szukający humanistycznych treści wszelkich rozwiązań społecznych i produkcyjnych.

Ci, dla których praca stała się tylko środkiem a nie celem, utworzą społeczeństwo czysto konsumpcyjne, w którym po zaspokojeniu potrzeb materialnych znacznie narastać poczucie bezsensu własnej pracy, niepostrzeżenie przegradzające się w zwykłą frustrację, a potem alienację ze społeczeństwa. Przestrzec tu warto przed dzieleniem sobie życia na dwa etapy, pozornie uzasadnione wielą względami praktycznymi jak również pewną hierarchią, ustaloną na własny użytek. Pierwszy z tych etapów ma być z pełną świadomością poświęcony na „dorabianie się”, aby po zrealizowaniu tego już „na serio” zająć się pracą zawodową i społeczną, rozwijając i zaspokajając potrzeby kulturalne, tworząc tzw. wyższe wartości. Jednak praktyka wykazuje nieodmiennie złudność takiego programowania sobie życia. Pierwszy etap bowiem — nawet wbrew początkowej woli zainteresowanego — kończy się tym, że wartości, które miały doprowadzić do celu, stają się celem zasadniczym, a pierwotne zamierzenia nigdy już nie zostają osiągnięte. Pieniądz rodzi pieniąż — powiadają nie bez słusznego kapitaliści. Jeżeli bodźce materialne raz już opamięta człowieka, nie dają się łatwo, a często już wcale, wyeliminować. Nawet wtedy, gdy zaspokajane są najbardziej luksusowe potrzeby.

Rzecz więc polega na tym, aby praca była wartością nie deklaro-

waną, nawet nie tylko uznawaną, ale przede wszystkim realizowaną w praktycznym działaniu. Chodzi również o to, aby w hierarchii uznawanych przez nas wartości zajmowała odpowiednie miejsce. Odpowiednie to nie znaczy, że zawsze i bezwzględnie pierwsze. Nie jesteśmy i nie będziemy aniołami. Badania, przeprowadzone wśród młodzieży robotniczej Leningradu, wykazały, że dla większości pierwszą wartością była rodzina, drugą — podnoszenie kwalifikacji, trzecią — praca społeczna, a dopiero na czwartym miejscu znalazła się praca zawodowa. Ale jednocześnie prawie wszyscy respondenci ankiety podkreślali, że źródłem klasyfikacji jak również realizowania trzech pierwszych wartości jest właśnie praca zawodowa, że bez sukcesów w tej dziedzinie nie może być mowy o realizacji pozostałych.

Coraz częściej słyszy się głosy, że cywilizacja przyszłości będzie cywilizacją czasu wolnego od pracy. Jest w tym chyba jakieś zasadnicze nieporozumienie. To prawda, że czasu będzie więcej, że dajmy do tego, aby praca była mniej wyczerpująca i fizycznie i umysłowo. Ale czas wolny jest i będzie funkcją efektywności pracy, efektywności zaś będzie tym wyższa, im większe będzie zaangażowanie w pracę, im bardziej czołowe miejsce zajmie ona w naszej hierarchii wartości. Zresztą — jak się wydaje — przeciwstawianie sobie pracy i czasu wolnego jest w ogóle niesłuszne, gdyż jedno wynika z drugiego, a równocześnie oba zajęcia uzupełniają się wzajemnie.

Badania socjologiczne w omawianych sprawach znajdują się u nas dopiero w zaczątku. Nie posiadamy żadnego obrazu całościowego, nie wiemy, jaką wartość nadaje pracy większość społeczeństwa, jaka jest motywacja, jak przeciętny Polak klasyfikuje istotne dla niego wartości. Wycinkowe badania, oparte tylko na ankietach, zdają się wskazywać, że praca jest przez nasze społeczeństwo wysoko ceniona zarówno jako wartość samoistna jak i dająca efekty materialne. Jest to jednak raczej ogólnik, poza który nasi socjologowie jeszcze wyjść nie potrafili.

Tymczasem zarówno odczucie powszechne jak i uchwały VI Zjazdu PZPR uznają pracę jako najwyższe kryterium społecznej użyteczności człowieka. Błędem naszym przez pewien czas było to, że ową społeczną użyteczność wyprzedzaliśmy z procentów przekraczania norm, opierając się na suchej statystyce bez uwzględniania obiektywnych walorów danego miejsca pracy. Nie dbaliśmy też zbyt o warunki pracy, a więc o to, co dzisiaj nazywamy warunkami socjalno-bytowymi. Już stosunkowo krótka praktyka dowiodła, że odpowiednie kształtowanie tych warunków znacznie zwiększa odczucie wartości pracy, pogłębia motywację, w konsekwencji zaś właśnie te warunki socjalno-bytowe wpływają na efektywność pracy.

To jest odpowiedź generalna. Kiedy jednak pomyśli się o szczegółach, powstaje wiele dręczących pytań, na które nasi naukowcy przy współpracy praktyków powinni jednak dać odpowiedzi jednoznaczne i zgodne z rzeczywistością. Od tego bowiem zależy nasze dalsze działanie i kierunki tego działania. Oto dla przykładu grupa pytań:

Kto zwraca większą uwagę na prakseologiczne wartości pracy — człowiek z wyższymi czy niższymi kwalifikacjami? Jaki procent ludzi rzeczywiście uważa pracę za wartość samoistną? Co w gruncie

rzeczy bardziej wzbogaca człowieka — praca czy czas wolny? Swoboda wyboru zawodu i miejsca pracy czy podporządkowanie zatrudnienia potrzebom gospodarczym? Czy stymulowanie zatrudnienia środkami ekonomicznymi, a raczej środkami doraźnymi (szybki przydział mieszkania, specjalne premie czy dodatki), wynika z konieczności aktualnych, czy też ma to być metoda stała, tyle że stosowana kolejno w różnych dziedzinach? W jakiej dziedzinie i dlaczego dochodzi najczęściej do konfliktów między interesami ogólnymi a indywidualnymi? Czy zbyt wysokie wykształcenie nie wpływa ujemnie na jakość wykonywanej pracy, zwłaszcza gdy z różnych względów nie odpowiada ona posiadalnemu wykształceniu? Czy ewentualna optymalizacja wykształcenia powinna objąć tylko wykształcenie ogólne, czy jedynie zawodowe? Czy nie wprowadzić dezaktywizacji kobiet w okresie szczególnie nadającym się do rozrodności? Dlaczego gotowanie potraw w restauracji jest uważane za pracę społecznie użyteczną, a gotowanie w domu, często w znac-

wspólne. Ale człowiek jest wielowymiarowy, posiada w sobie niewyczerpane zasoby aktywności, bogactwa duchowego, patriotyzmu i tych wszystkich cech, które stanowią o jego wartości.

Jednak te prawidłowe motywacje i postawy muszą stać się jeszcze bardziej powszechne, jeszcze bardziej naturalne. Aby zaś tak się stało, musimy przede wszystkim poznać stan faktyczny — i to jest pilne zadanie na dziś i na jutro. Myślę, że wycinkowe badania lat poprzednich, chociaż przeprowadzane anonimowo, w zmienionych warunkach domagają się jednak korekty. Chyba nawet badania z pierwszych miesięcy ubiegłego roku, które nie były pozbawione pewnych emocji, będących zrozumiałym odruchem na poprzednie realia...

Pokazna część powyższych uwag, w publicystycznym materiale z natury rzeczy skrótowych, narodziła się w czasie wielogodzinnej dyskusji dziennikarzy z naukowcami, zresztą znacznie bardziej kontrolowanej niż to wygląda z niniejszej relacji. Tak np. jeden z zabierających głos stwierdził, że nadał jest aktualna anegdota, opowiadana swego czasu przez Hojy, iż w ple-



Fot. M. Targoński

nie gorszych warunkach, za taką pracę uważane nie jest? Czy ludzium o ograniczonej zdolności do pracy dawać zatrudnienie, nawet jeżeli ich praca przynosi straty ekonomiczne, ale gdy równocześnie daje im ona poczucie potrzeby istnienia?

Oto niezwykle szeroki wachlarz pytań, wcale zresztą nie skończony, a skierowany nie tylko do socjologów, ale i do ekonomistów, polityków, psychologów, działaczy społecznych. Ich to zadaniem jest stwierdzić, jakie są poglądy społeczeństwa na te sprawy, jakie odczucie i pragnienia — a następnie podjęcie odpowiednich działań zmierzających do zmiany tego, co ewentualnie uznajemy za nieprawidłowe w takich czy innych warstwach społecznych, w określonych grupach zawodowych.

Przekonał się nie tak dawno, że socjalizm powstaje nie dzięki dyktawom i wskaźnikom, hasłom, nakazom i zakazom. Za złe praktyki zapłaciliśmy wysoką cenę. Dziś wiemy już dobrze, że działać trzeba nie ponad ludźmi czy obok ludzi, ale razem z nimi i na wszystkich „płaszczyznach” równocześnie. Polska jest jedna, wszystkie principia narodu i jednostek są

nie tylko przy kotle, w którym smażą się Polacy, brakuje diabła pilnującego, aby wszyscy byli zanurzeni w płonącym smole — bo sami z lubością się topimy, gdy ktoś z nas wyraża ponad przeciętność, gdy swoją indywidualnością i efektami pracy wysuwa się przed innych. Czy i nie jest w tym gorzkiej prawdy? Nie sądzę, aby mimo takich czy innych przykładów zjawisko było rozpowszechnione, ale niewątpliwie jest, jeżeli takich przykładów i dzisiaj nie brakuje...

We współczesnym życiu jak nigdy dotąd pomleszały się ideologia, ekonomika, filozofia i socjologia. Wydaje się jednak — i tu czas wrócić do początku — że jednak w ostatecznym rachunku o wartości człowieka decyduje jego praca i motywacja tej pracy, jej miejsce w hierarchii naszych celów oraz identyfikowanie celów ogólnych z indywidualnymi. I dopiero gdy to wszystko osiągnie wysoki oraz naprawdę powszechny stopień rozwoju, będziemy zdolni prawidłowo odpowiedzieć na pytanie, na jakim etapie budowy socjalizmu się znajdujemy. Pamiętając zawsze, że socjalizm jest nauką i praktyką żywą, że niestannie się rozwija, rośnie i pogłębia.

POJAWIŁ się tuż po wojnie w obozie uchodźców polskich w Indiach i natychmiast zdobył sobie nie byle jaką sympatię. Był to dżentelmen ze wspaniałym poczuciem. Krępy, szeroki w barkach, wąski w łydźwiach, muskularny, łagodny, jedno oko piwne, a drugie błękitne, maści białej podszytej różowością, w czarne łaty. Skrzyżowanie prosięcia z buldogiem. Gęba ząbna, choć buzi dać. Niedyś były to psy obronne, a w upływie wieków spocieszniłe. Bill podtrzymywał zamierzchłe tradycje rodowe, szczenięc będąc skakal za spadochronem pod Arnhem, przycupnąwszy w kieszeni battle-dressu jednego z naszych spadochroniarzy. Bill-maskotka przetrwał tragedię tej bitwy. Do naszego obozu trafił już jako wstawiony w bojach weteran, choć ciałem i duszą młodzieńczy. Nie pysznił się, nie zadzierał nosa, nie przechwalał, nosił się skromnie, nie pozwalał na bohatera. Na pierwszy rzut oka trudno było w nim odgadnąć tak chwalebny przeszłość, inny by ogonem zadwajał machał, grzywe stroszył, szczełakał na potęgę. Bill zaś spoglądał filuternie piwnym, a marząco błękitnym okiem, ani pies, ani bies, tylko taka świnkowata psinka. Nikt by nie podejrzewał, że to wojak cała gęba. Stąd też powstawały domysły niecne i podstępne, a to, że Bill pochodzi z nieprawego łóża, jest niewydarzonym mieszanicem, nigdy nie wahał prochu, cała jego przeszłość gubi się w podejrzany światło, usposobienie ma takie, że do rany go przyłóż, a właściwie jest mazgaj, fajara, sławę matojcejką przodków swoich zaprzepaścił, ma skłonność do tycia, nie gustuje w pić nadobnej, żywot wiedzie leniwy. Bill klepsko się czuł wśród plock, a insynuacje zbywał milczeniem. Dobrze rozumiał po polsku, choć był przeciw angielskiego pochodzenia, które tail, albo całkiem o nim zapomnieli. W jego biografii istniały niewątpliwie luki, pasma niedomówień. Przede wszystkim nie było wiadomo, kto go rodził, i skąd Bill się wziął wśród polskich spadochroniarzy, w każdym razie cudem wykaraskał się spod Arnhem, a do Indii trafił na pokładzie samolotu obsługiwane przez pol-

ską załogę latającą na trasie Londyn—Singapur. Kroniki milczą o tym, kto go dostarczył do naszego obozu. Bill nie miał wśród nas stałego opiekuna, był bratem łaty, przyjacięlem każdego. Od chwili pojawienia się budził ciekawość i, szczerze mówiąc, nigdy nie spowszedniał. Ilekroć my, harcerze, wybraliśmy się na wędrowki rowerem do Bidżapur, do dżungli, albo do portugalskiej podówczas Goa, Bill siedział w koszu na bagażniku i

du polskiego. Bill, jak wiadomo, jest zdrobnieniem imienia William. Skoro tak wsiąkł w sarmackie środowisko, trzeba zatrzeć ostatni ślad cudzoziemskiego pochodzenia. Myśl ta miała również swoje polityczne uzasadnienie, uważaliśmy bowiem podówczas, że Anglicy nas zdradzili i sprzedali, zatem nic, co angielskie, nie zasługuje na naszą przychylność. Jednakże ani Wojtek, ani Ignac, ani Bartek nie przyjął się wcale, ze względów niepojętych pozostał nadal Bill. Rozrósł się, utył i zaokrąglił, nabrał sadła, coraz bardziej różował pod białą sierścią, przypominał zażywną prosię. Temperament uciał mu służył, od razu można było w nim poznać ułudę publicystyczną. Cieszył się żywotem bogatym, lecz wcale się nie rozpaskudził. Chadał sobie siedy i owedy, wykorzystując swoją popularność. Nosił się jednak bardzo godnie i rzecz szczególna — nikt go nie klepał, ani nie gaskał, ani nie targał za uszy. Bill był wyższy nad takie miszery czy niezręczne pieszożyty. Najbardziej cenili tych, którzy rozumieli jego upodobania, jego nieposkromioną dobroduszość. Do jednych mrukał piwnym, do drugich błękitnym okiem, potrafił zadowolić każdego. Z tych mrugnięć przesądni wróżyli dobrą albo złą pogodę, udany albo nieudany interes, szczęśliwy albo nieszczęśliwy traf. Przy czym jedni lokowali nadzieję w piwnym, a drudzy w błękitnym oku. Był to okres sprzyjający wróżbom, każdy był niepewny swego losu i nikt nie wiedział, co go czeka w niedalekiej przyszłości. Zły lęk przed powrotem do kraju i lęk przed pozostaniem na tułaczce. We frasobliwym życiu dobrze było mieć takiego niefrasobliwego Billa, polskiego patriotę.

BILL PATRIOTA

Jerzy Krzysztoń

rozglądał się ciekawie, dopóki wzrok jego nie padł na jakiegoś przydrożnego bajorka, albo na spory kamień. Wówczas odzywała się w nim krew przodków, hycal jednym susem z kosza na ziemię, dopadał kamienia i usiłował wciągnąć go do pyska. Mozolił się z nim, biedził i trudził, a my nie nie wiedząc, że przynął z kosza, jechaliśmy dalej, aż ktoś się spostrzegł i wołał: „Gdzie Bill?” Wracaliśmy po urwisko nieraz kilka kilometrów. Bill tymczasem zdążył wychłapać się w bajorku i nie sobie nie robił z naszych polajanak. Znal swój szelmowski urok. Dawno już zyskał sobie obywatelstwo polskie. Pewna pani utrzymywała, że należy go przechrzcić na Wojtkę, Bartka czy Ignaca, aby już całkiem przyłączył do naro-

I zniemacka Bill przepadł. Poszukiwaliśmy go dniem i nocą. Wszelki ślad o nim zaginął. Nie oddał się nigdy z osiedla bez naszego towarzyswa. Nie miał wrogów. Nie wpadł pod samochód, od razu wiedzielibyśmy o tym, gdyż w osiedlu był tylko jeden jedyny chevrolet. Nikt by się nie domyślił, jaki los spotkał Billa, gdy prawda wreszcie wyszła na jaw... Popłynął w słońcu do Polski przepiętany na sadło dla ratowania zdrowia gruźlików, i bądź tu polskim patriotą!

MOŻE bym przestał o nim myśleć i może bym w końcu o nim zapomniał — tym bardziej, że wpadłem w wir pilnych zajęć — gdyby nie to rosnące za moim oknem drzewo, ten wiąz o krótkim, grubym pniu i wychodzących z niego kolistych gałęziach.

Wystarczyło, że ujrzałem na szybie rąbek jego korony, jakąś jego gałązkę wystającą samotnie z wierzchołka, jakby wystrzeloną w bezmiar powietrza i upraszającą listki dla dolnej partii drzewa, rosnącego na skraju wielkomięjskiego parku, drzewa ponizszego i maltretowanego u niskiej nasady korony i u pnia, o który czochra się dzień i noc to wiekie miasto.

Wystarczyło, że przeciał mi szybę jeden liść spadający na ulicę pod ścierające wszystkie na pył rozpedzone nogi ludzi, abym nagle odwrócił myśl od pilnych prac i całą swoją wyobraźnię oddał tamtemu staremu człowiekowi i jego drzewu, które było także wiązem i rosło w rogu ogrodzenia, tam, gdzie dwa sztachetowe płoty zeszyły się przy grubym, ale już podgnilym słupku.

Później nie musiał być widok gałązki czy listka i nie musiał wpaść mi w oko żaden rąbek, żaden odprysk ani cząsteczka oderwana i odwiana wiatrem z tego parkowego wiazu; później wystarczył sam jego szum, abym urwał myśl pochłoniętą pilnymi zajęciami i przeniósł ją na tego starego człowieka, który nie wiedział czego broni, gdy bronił swojego drzewa, który nie umiał powiedzieć o co mu chodziło, gdy chciał ocalić ten wiąz rosnący w rogu ogrodzenia.

O drzewo mu chodziło, ale — można też powiedzieć — że nie o drzewo; bo przecież po ostrej kłótni z synem i po rzuceniu przekleństwa i po wezwaniu pomsty chwycił się za swoją suchą, łysą głowę i wyjękował — przez głupie drzewo, przez takie głupie drzewo, przez taki głupi wiąz...

Biorąc sprawę tak od razu, po prostu, musi się pomyśleć — drzewo, wiąz, gałęzie, liście były kością niezgody; to samo drzewo widziane jako rzecz, którą trzeba ocalić i widziane jako zawalidroga, jako grat, który nie chce się usunąć furze pełnej snopków, który zawiązał wjazd nowym szerokim wozem na gumowych kołach rozpedzonym w przedburzowy czas.

To samo drzewo widziane różnie, przez jednego z uszanowaniem niby drzewo krzyż, a przez drugiego z niechęcią niby uparty natręt, było przyczyną tego, co się stało; ale przecież ten stary człowiek, który bronił drzewa, zaraz po kłótni z synem wplątał się w koronę powalonego już wiazu i trzopcząc się w nim niby wielkie ptaszysko targal je ze złością za gałęzie i bil suchymi rękami w liście i mówił cicho do drzewa — przecież mi nie byłoby potrzebne, przecież mogłem żyć bez ciebie, przecież można żyć bez wiazu... Czuli on broniąc drzewa, nie wiedział, czego broni; a ludzie aż dyszeli z pragnienia, żeby on to znalazł i powiadomił ich o tym; wszyscy chcieli mieć jasny obraz sprawy i byli natrętni, okrutni w dążeniu do tej jasności.

A i on także był dla samego okrutny, gdy to, co się z nim działo, chciał ujrzyć w jasnym świetle, gdy chciał to pojąć.

Przecież na pewno on pierwszy zadał sobie to najtrudniejsze pytanie — dlaczego? — zanim go obrzucili inni tym pytaniem wyrażanym rozmaicie — słowami, gestami, albo wzrokiem i milczeniem, albo samym tylko milczeniem; zanim się potoczyła cała lawina, cała kurzawa tych pytań, tych „dlaczego”.

Ale odpowiedź była nieuchwytna, płynęła sobie w jakiejś głębokiej, podziemnej rzece niby ryba, która nieraz plśnie w górę ku powierzchni wody i błysnie sobą, ale w chwili, gdy już ma się ukazać jej kształt, idzie w głębinę i maści swą srebrzystość; niewiele też pomoże krótka chwila, w której ryba wyskoczy nad powierzchnię wody, bo to jest okamgnienie niemożliwie chwycenie wyraźnego kształtu.

Ludzie ponagliani i uręczeni tym — „dlaczego”, pragnęli złowić odpowiedź, ale nie mogli; więc co jakiś czas zatrzymywali się przy samych faktach, aby się popieścić wygodnie rzeczywistością nie ulegającą wątpliwości.

Bowiem ponad wszelką wątpliwość został ustalony stan faktyczny bezpośrednio poprzez

dzający rzucenie przekleństwa i wezwanie pomsty; więc chętnie przenosili się myślą do tego drzewa, którego już nie było, a które oni lekkim poruszeniem wyobraźni stawiali na skraju pól, w rogu płotu; i mieli przed sobą ten stary wiąz, jego gruby pień, duże i małe gałęzie, wreszcie gałązki i liście.

I znów lekkie poruszenie wyobraźni i już syn tego starego człowieka wraz z chłopakiem od sąsiada piluje nisko, u samego spodu, pień wiazu, piła chodzi tam i z powrotem, trze, piszczy ptasio i wrzyna się w drzewo, opasując je ledwie widoczną, żółtą nitką szelczy.

I znów drobny ruch wyobraźni i ten syn starego człowieka bierze siekiere i podcina nią pień drzewa w odpowiednim miejscu, drzewo przechyla się wolno, oddaje najpierw dostojny sztywny pokłon polom, a potem zwala się na ziemię z trzaskiem łamanych gałęzi.

Gdzie był wtedy ten stary człowiek? A gdzie on mógł wtedy przebywać jak nie w polu; każdy uczciwy, porządny i ruszający nogami i rękami, a także władający grzebiem powinien być w tym czasie w polu przy pilnych robotach; tylko dziecko albo chory, albo taki, który nie mógł ścierpieć drzewa i nagle umyślił sobie, żeby je obalić, został

pożyczkowo oparci o górny drąg drabiny, jak to bywa przy zwózce nie nagłonej, nie pedzonej przejrzystością horyzontu czyli zapowiedzią burzy, a uspokojonej znakami pogody.

Ale jednak przy wyjeździe z podwórza sterczący fantazyjnie róg lewej drabiny wozu tracił w drzewo i co za tym idzie dyszel uderzył w bok konia przyprzagniętego od strony „na wiata”; i co jeszcze za tym idzie, wóz nagle stanął i musiało się go cofnąć, zwracając dyszel jeszcze bardziej w lewo i po przeprowadzeniu kilku dodatkowych manipulacji jeszcze raz ruszyć do przodu z napiętą uwagą, aby znów nie zawadzić o drzewo.

Właśnie wtedy syn mruknął do siebie samego, a może i w stronę ojca — trzeba wreszcie coś zrobić z tym wiązem; to niewinne — „coś zrobić” było pierwszym sygnałem, że drzewo jest zagrożone; i już to — „coś zrobić” musiało znaczyć — podpłować i obalić; bo co innego mogło oznaczać; przystuganie, przyciosanie pnia nie mogło wchodzić w grę, gdyż to by nie dało; a zresztą gdyby nawet w naiwności zdecydowano się na przystuganie czy przyciosanie, oznaczałoby to także, podobnie jak ścięcie, śmierć drzewa; a więc to mruknięcie — coś zrobić — musiało znaczyć — ściąć.

Była dobra ta chwila wjazdu na ściernisko, gdy wóz dyszał, a konie łbami, a ojciec i syn twarzami zwróconymi do wsi, a więc i do tego drzewa; bo patrząc na nie z tego oddalenia, musiało się pomyśleć, że nikt się nie odważy obalić drzewa, że nikt nie weźmie sobie na sumienie ścięcia wiazu; bo przysługując się temu drzewu z tego miejsca, trudno było sobie wyobrazić, że ktoś może wziąć siekiere i powiedzieć do drugiego — chodź, weź piłę, pomożesz mi obalić wiąz; i że obaj pochylą się przy pniu drzewa i pociągną piłę po korze i pójdą nią dalej, a potem podkują ją i znów pójdą piłą dalej...

Gdy wtedy ten stary człowiek układał w drabinach snopki podawane przez syna, gdy budował wysoką furę, miał nadzieję, że drzewo się ostoi, że ono samo będzie w stanie odgonić zły zamiar człowieka i że cofnie nawet takiego, który zbliżył się do jego pnia z piłą i siekiere.

Ufał wtedy wielkości drzewa i nie bał się nawet myśli o maszynie, o której mówił mu syn i wierzył, że on maszynami będzie wyjeżdżał w pole okrężną drogą.

Jednak w to, że syn będzie nabywał maszyn, nie wątpił, bo wiedział, że on odkąd przejął ziemię i cały dobytek, robi w gospodarstwie nowe porządki, zmienia narzędzia i rolę inaczej obrabia, sad przesuwa i wciąż coś nowego obmyśla.

Przy robieniu tych porządków zabrał też tę szeroką, wklęsłą miedzę, na której tyle rzeczy się działo; powiedział, że ona nie jest granicą, bo idzie przez jej pole i dlatego jest niepotrzebna; nie zwał na to, że na niej tyle rzeczy się działo i obrócił ją trawą do ziemi i uczynił z niej dwie skiby; a była to dobra miedza, można było po niej iść i patrzeć gdzie indziej i myśleć o różnych rzeczach.

Te porządki były tak dokładne, że zagarnęły nawet ten stary pniak i poszedł w ogień ten tron drewni, na którym przez całe lata rąbało się drewno i na którym po robocie dobrze było usiąść, bo siekiera i kawałki drewna bijące w niego przez wiele lat stępiły mu kany; na tym nowym już tak nie usiądziesz, bo jest za wysoki i ucięty do kantu i muszą zejść lata nim siekiera i drewno obróbią go po brzegach i przypłaszczą.

W kawałek płotu zrobiony z samych oskórowanych żerdzi biegnący obok głównej drogi wsi także uderzyły te porządki, został zerwany i spalony, a na jego miejsce przyszła druciana siatka.

Ten stary człowiek nie miał nic przeciwko siatce z drutu, wiedział, że to dobra rzecz, że płot z niej zrobiony jest gęsty i trwały; ale jeśli chodzi o patrzenie na drogę wsi i oglądanie ludzi po niej idących i wozów po niej jadących, to nie ma jak płot z samych skórowanych żerdzi; jest gładki i miły jak sierść kota, na dolnej żerdzi możesz usiąść, a o górnej się oprzeć i patrzeć na drogę bez żadnych przeszkód i mieć przed sobą świat takim jaki jest; a siatka wszystko odmienna, świat za nią migoce jakby kto nim potrząsał, a ludzie się oddalają.

Siatka okrutnie dzieli świat i ludzi, przez siatkę nie podasz drugiemu ręki, tak jakbyś się go bał, nie przywitasz się z nim, nawet nie zobaczysz dokładnie, czy drugi człowiek jest wesół czy smutny.

Gdy jest siatka, jeden drugiemu nie pomoże od razu — znajdzie nieraz taka potrzeba — bo musi biec do furtki; ale jako materiał na płot jest dobra i teraz wszyscy chcą mieć drucianą siatkę, na nie nie zważają i dają do płotów z drucianych siatek.

Ale co innego miedza, pniak, płot, maszyna i różne porządki i nowości, a co innego to drzewo; trzeba by nie mieć ani za grosz wstydu, żeby wziąć dwa żelaza, piłę i siekiere i przechylić się chyttrze i przepłować i dziabnąć i roztrzaskać wieki; już to samo, że wystarzało do tego dwa niewielkie żelaza, że potrzeba tak mało, żeby roztrzaskać tak wiele, powinno napędzić strachu temu, kto by chciał obalić to drzewo.

Ale gdy na podwórzu wjechał nowy wielorzędowy siewnik, ten stary człowiek przypatrzył się dokładnie jego szerokości i doszedł do wniosku, że przedział między wiazem a jablonką, przez który prowadzi najkrótsza droga do pól, jest wązki; a jablonka nie pójdzie przecież pod piłę.

Pozostaje więc ta dłuższa, okólna droga, którą gdy się jedzie, najpierw trzeba się od-

TEN STARY CZŁOWIEK

Julian Kawalec

w domu albo w sadzie i nie wychodził za płot.

A więc stary człowiek z pola zobaczył, że drzewa nie ma; po prostu stanął sobie, bo go zabolął krzyż i nagle trąciła go w oczy niezwykła jasność idąca od tej części nieba, którą zasłaniało to drzewo; i ten stary nie mógł znieść tego przeraźliwie jasnego, jakby rozjarzonego prześwitu przerywanego wieś, biegnącego daleko, na sam koniec świata; szybko jak tylko umiał wprawił w ruch nogi i pobiegł na to miejsce, z którego znikła ta zasłona.

Najpierw ujrzał na ziemi splaszczoną, szczochną kopę zieleności, zwężającą się ku dołowi aż do tej jednej cienkiej gałązki, która była wierzchołkiem powalonego drzewa.

Stanął chwilę przy tym już zupełnie niegroźnym wierzchołku zdziwiony, że można tuż przy nim stać, że można nawet na nim jak na ziemi postawić stopę; a potem potoczył się dalej, zakrzywił półkolistym obrzeżem korony wiazu i znalazł przy jego początku, to znaczy przy pniu, nagle przepłowanym przez sto, przez dwieście, a może i przez więcej swoich lat i ukazującym swoje preharatane wieki na ciemnozielonym, przyproszonym trocinami licu; przy tym pniu stał jego syn i ten chłopak od sąsiada, leżały tam także piła i siekiera; wtedy zaczęła się ta kłótnia zakończona wezwaniem od ziemi i niebios pomsty na syna.

A przecież to wszystko, co stało się z tym drzewem i przez to drzewo, zaczęło się zupełnie spokojnie.

Pierwsze słowa świadczące o tym, że drzewo może coś grozić, zostały wypowiedziane na wozie, na tym długim i szerokim wozie na gumowych kołach ubranym w drabiny do snopków; dzień był ciepły i słoneczny, zamglony horyzont wróżył trwałą pogodę; ojciec i syn stali na desce między drabinami, rozumną, obleczoną w nieprzenikalną skórę, grubą niczym kora.

— Nie mogłem dospać — powiedział, gdy odlał się przy węgle chlewicka.

— Jakis niepokój mnie kopał — zwierzyłem się. — Coś się stanie... ale co?

— Co ma się jeszcze stać? — gospodarz uśmiechnął się blade. Spojrzał na mnie i zaraz zaproteściwał energicznie przeciw moim przywidzaniom, które nie zgadzały się z jego snami, rozpedził się i zokołował nogą nad psem. — Bo ci dam kopa, ty wyju. Ty naprawdę coś sprowadzisz... Trzeba jeszcze więcej? Co ty wiesz? Ale może być i tak, że Niemcy uwiężą pod Lwowem, a nasi rozpedzą się od wschodu i wejdą im od zakrystii. W jego szklanych oczach majaczyła obłądna wiara aż... aż ścigało nogi, żeby runąć na kolana i błagać kogoś żarliwie o spełnienie tych marzeń. Właśnie tym mnie obosił, kiedy, niezany, przywlokłem się do wsi wczoraj wieczorem.

Teraz spieszył się, zerknął w okno, jakby bacząc, żeby go nie ubiegło słońce. On musiał być pierwszy tam, gdzie trzeba. Pstryknął palcami nad nieposprzątanym stołem; czyżby brał rozbrat? Ale wiedziony instynktem samozachowawczym zajrzał do komórek po

nie oznaczałoby tego tylko w tym wypadku, gdyby dla uratowania wiazu poświęcił stojącą po drugiej stronie wjazdu młodą jablonkę, dającą co drugi rok obfity zbiór jabłek wyśmienitego gatunku; ale jak porwać się na jabloni, z której jest taki pożytek...

Po słowach — trzeba wreszcie coś zrobić z tym wiązem — stary człowiek milczał; a i jego syn nic nie mówił, jakby myśli o drzewie odebrała im mowę; a było przecież o czym rozmawiać, bo jechało się środkiem sierpniowych pól nakrapianych ułożonymi w kopy snopami, które aż prosiły się, żeby je ocenić i ocenić, przez cały czas jazdy ocenić i przewidywać, ile dadzą ziarna; a oni milczeli, bo to drzewo nie dało im mówić o zbożu.

Ale jednak w środku pól odezwał się wreszcie ten stary człowiek i dał spóźnioną odpowiedź synowi, powiedział cicho — niechby jeszcze powstał ten wiąz; a syn jakby tylko na to czekał i już głośnie, niż przedtem on sam i niż ojciec, najpierw przedrzeźniając — niechby jeszcze powstał, niechby jeszcze powstał...; a potem poważnie, z troską o sprawność przyszłych robót, a mówiąc ściśle o szybko, niczym nie hamowany wjazd i wjazd nie tylko szerokiego wozu, ale jeszcze szerszego siewnika i innych maszyn — wóz jeszcze jako tako przejeździe, ale co będzie, gdy kupię siewnik, no co będzie...

I znów jechali w milczeniu; i znów odezwał się stary człowiek niby pytając, niby twierdząc — siewnik szerszy od wozu z dużymi drabinami...; a syn na to — szerszy, szerszy...

Skręcili z drogi na pole, a podjeżdżając do kopy snopków musieli się ustawić twarzami do wsi i musieli tym samym ujrzyć to drzewo, które wychodziło z zielonego pierza sadów niby ogromna ręka.

TAKIEGO niepokój nie doznawałem nigdy, zrywałem się w tym chlewisku pełnym zapachu amoniaku i odgłosów przeżuwania; krowa posunęła się łbem pod żłób, czując obcego. Myślałem, że budzi mnie wrześnie chłód, więc podczołgałem się do owej Krasej i przylgnąłem do jej ciepłego brzucha. Ani na chwilę nie przerwała roboty zuchw, ale kiedy znów się zrywałem, otrząsnęła się ze mnie i podciągnęła nogi do wstawania. Płakać się chciało młodzieńcowi, który spod Krakowa zadrabował aż tu w ucieczce przed Niemcami, po drodze wprasując się do każdej spotkanej jednostki wojskowej. Nie wiedziałem, że w tym czasie mój brat przygotowuje się do bitwy niedaleko stąd, w lasach koło Tomaszowa Lubelskiego. Niepokój o własny los tymczasem przycichł, ponieważ Niemcy tym klmem jeszcze nie przebili się za Janów, a ja już znalazłem się kilkanaście kilometrów na południowy-wschód od miasta bombardowanego z powietrza wczoraj przed wieczorem. Być może, zamierzałem nadziei szukać we Lwowie. Poza tym we wsi było

pełno polskiego wojska, oficerowie odgrazali się, że zrobią porządek, odbiją od Buga i runą naprzód i nie wytchną aż dopiero w Berlinie. W nocy rozległy się pojedyncze strzały w dolnej części wsi; nie dotyczyły mnie. Wszystko obłuskane z tajemnic, więc coś tak niepokoiło, do diabła? Obłuskany... a ja jak odarty ze skóry, z nerwami na wierzchu, nie więc dziwnego, że nawet tępa krowa przeleżała się.

Odciągnąłem skobel i wyzedłem na podwórko zasłane szarością i zimną rosą z mgły. Podpalany kundel kucząc na tyłku przed budą, a mocno wparty w ziemię przednimi łapami, ani mnie zauważył, lunatyknie przymierzał się do wyblakłego księżycy i po chwili zaczął wyć. Nad dachy, gonty i strzechy, nad drzewa obrane zbyt wczesnie z owoców przez zgłodniałych uciekinierów unosiło się parskanie koni i żołnierskie tupotanie. Z przedniej mokrej łąki zakrzyczyły ostrzegawczo żurawie, jak to żurawie — z goryczą, polittowaniem — o przemianianiu, odlotach i powrotach.

Gospodarz już był na nogach. W kaloszach szurkaniem omotanych na stopach, w buciastych portkach i wiatrówe na plecach. Głowa w sędzielnie, można by użyć takiej przenośni, gdyby już nastawała zima. Ale twarz miał czerwona i

drugiej stronie wąskiej sieni, gdzie wokół kadłuba warsztatu stolarskiego mrok rozjaśniały złociste wióry, a w powietrzu mieszał się zapach oleju z zapachem mącznego pyłu. Także bardzo marudnie przeszedł koło chlewika i psa, który nie mógł się zdecydować czy wyć do księżycy już niłkającego, nie mającego nic wspólnego z tym ogromnym i zacerwieńnionym o północy.

Weszliśmy w obustronnie zabudowaną uliczkę wiejską zagłuszoną przekwitnymi kłściami bzu i buldenezów, gdzieś niedaleko ubarwioną główkami piwonii i georgin.

We wschodniej części wsi opadającej w rozleglejszą dolinę potęgował się ruch, słychać było łudkie nąwoływania, wzbijały się gołębie i wróble, a nawet w niedalekim lesie rozkrakały się wrony. A nad tym unosił się donośny dźwięczny głos, przedłużający się niczym fanfary wzywające do kierunkowego marszu i fanfaronady. Było to coś z naszego poematu, że jesteśmy skazani na wielkość. Mój przewod-

nik w kaloszach i wiatrówe strzygli uszami, raz po raz przystawał — i tak dobrnęliśmy do chałupki ogołoconej z drzewiny i dlatego samotnej. Wydawało się także, że jest odosłonięta od drogi, i z dnia na dzień wypychana przez zewnętrzne wyroki na skazanie. Świadectwem tego mogła być kobieta siedząca ze zwieszoną głową na przyzbie, spod Inianej, luźnej jak worek powłoki widać było gołe stopy, zaś twarz, oprócz brody, kryła się pod naręczem poślizkiej konicy. Przewodnik pośliznął mnie ku niej i zagadał energicznie:

— Teoska, zajmij się krową. Słyszysz? Rzuć jej ziela, słyszysz? Gdybym nie wrócił, to ją weź do siebie. Słyszysz? I psa.

Kobieta w Inianej powłoce wprawdzie drgnęła, ale nie zmieniła pozycji, ani odsoniła się z chrząszczącego zawoju. Męczyzna schylił się i tyrpnął ramię kobiety. Chrząstnęło, jakby poruszył wo-

Jesteśmy

dać, a dopiero później zbliżyć do pól i wjechać na nie.

Syn nie nie mówił, ale na pewno także wiedział, że rozstęp między wiązem a jabłonką jest większy niż wielorządowy siewnik.

Wiele będzie zależeć od tego, który syn będzie chciał pojechać siewnikiem pierwszy raz; już po tym jak on ustawi maszynę przed wyjazdem na pole, jaki kierunek pokazuje przed maszyną, ten stary człowiek będzie wiedział, czy jego syn wybrał w cichości ducha drogę okólną, czy będzie się chciał wpaść między wiąz a jabłonkę dla udowodnienia, że siewnik tamteady nie przejedzie, dla pokazania temu starymu człowiekowi, że calej wsi, że drzewo jest zawalidrogą i niepotrzebnym gratem, który musi być usunięty.

W dzień wyjazdu na siew stary człowiek krążył koło szopy, a gdy jego syn i chłopak krążyli tam, żeby wypchać siewnik, bacznie przyglądał się ruchom kół; i już gdy maszyna przetoczyła się przez długi próg szopy, po wolniej obracającym się kole prawym, przy którym był ten chłopak od sąsiada, da i po szybciej obracającym się kole lewym, przy którym był jego syn, poznał że maszyna na ustawi się tyłem do wiązki i jabłonki, co oznaczało, że syn w słachetnej cichości ducha wybrał drogę okólną.

I zdawało się, że drzewu już nie nie zagrazi, bo szeroka maszyna jeździła na pole drogą okólną; ale raz na tej drodze spotkały się dwie szerokie maszyny i nie mogły się wyminąć; trzeba było dokazywać cudów, żeby w końcu się wyminęły, ale siewnik syna tego starego człowieka wyszedł z tej mijanki z pogiętymi sprychami u lewego koła.

A ten jego syn wszystko mógł znieść tylko nie defekt maszyny; był strasznie czuły na tym punkcie; tak był czuły, że wolałby się sam poharatać, aby tylko maszynie nie się nie stało; był do tego stopnia czuły na tym punkcie i tak delikatny i wrażliwy, że nawet podrapanie maszyny, starcie z niej lakieru wprawiało go w zły humor, a czasem i we wściekłość.

Dlatego ten stary człowiek był pewny, że po tej mijance, z której siewnik wyszedł z mocno pogiętymi sprychami, syn zrobi próbę wyjazdu przemykaniem między wiązem a jabłonką; dla pokazania ojcu, sąsiadom i całej wsi, że tedy najlepiej byłoby wyjechać, gdyby nie to drzewo; stary człowiek był pewny, że syn wpakuje się w ten przemyk i dotrze kołem do pnia drzewa, żeby wszyscy widzieli jak ten wiąz przeszkadza.

I nie mylił się, bo za kilka dni przy wypychaniu siewnika z szopy prawie koło maszyny, przy którym był ten chłopak sąsiada, obracało się szybciej, a lewe, przy którym był syn, obracało się wolniej; a znaczyło to, że przed maszyną skieruje się na ten przemyk między wiązem a jabłonką.

Gdy już maszyna stanęła na środku podwórza i gdy już przyprzeżnięto do niej konie, stary człowiek podszedł do syna i pokazując ręką kierunek przeciwny zapytał się cicho — dlaczego nie jedziesz tą drogą; a syn na to spokojnie, za spokojnie jak na taką chwilę — spróbuję przejechać obok wiązki; wtedy ten stary człowiek stanął przed łbami koni i powiedział — nie jedź tedy; ale już te łby końskie popychały go w tył, bo syn trącił lejcałmi ich grzbiety; a stary cofając się pod naporem tych końskich łbów, wciąż powtarzał — nie jedź tedy, nie jedź tedy...; i tak te końskie łby i dyszel dopchały go do drzewa, do tego winowajcy, przez którego lewe koło maszyny nie ma już eleganckiego wyglądu i nigdy, przynajmniej nie będzie; bo gdy maszyna raz zdefektuje to już przez cały jej żywot będzie się z nią wiół śladzik tego defektu.

Alle wracając do tamtej chwili należy powiedzieć, że gdy ten stary człowiek został łbami koni i dyszlem maszyny dopchany do drzewa, oparł się plecami o jego pleć, rozkrzyżował ręce i przestał mówić; a wtedy syn cofnął konie, bo przestraszył się tego krzyża; bo to zupełnie co innego, gdy człowiek czegoś broni słowami albo wprawionymi w ruch rękami i krzykiem albo gdy w obronie czegoś porusza się do bójki; to wszystko znaczy mniej niż uczynienie z siebie milczącego krzyża. Dlatego syn cofnął maszynę i odpowiednio wykorzystując przedziały między jabłonkami i manipulując na różne sposoby lejcałmi i manując na różne sposoby lejcałmi, zwrócił łby koni w przeciwnym kierunku

ku i pojechał na pole drogą okólną; a ludzie odczepili i odsunęli od pnia wiąz tego starego człowieka, a potem naciskając na jego ramiona, przystawili je do tułowia i przywrócili mu normalny, ludzki wygląd, bo on jakby zastygł w tej krzyżowej, obronnej postawie. Gdy to uczynili, zaczęli powtarzać — dlaczego aż tak, dlaczego aż tak... a to znaczyło — dlaczego on aż tak broni tego starego drzewa, dlaczego aż krzyżuje się na tym drzewie, żeby je obronił.

Od tego właśnie momentu zaczęła rósć i nabierać rozpędu lawina, kurzawa tych pytań, tych „dlaczego”, na które on nie umiał odpowiedzieć ani ludziom ani sobie; bo ta odpowiedź płynęła w jakiejś głębokiej rzece podziemnej i nie dała się złowić.

I znów się zdawało, że z drzewa zdjęta została groźba ścięcia i że będzie ono stać przynajmniej do śmierci swojego obrońcy.

Od tego dnia syn starego człowieka jeździł na pole drogą okólną — siewnikiem, nowym, jeszcze dłuższym i szerszym od poprzedniego wozem, kosiarką, a w końcu i ciągnikiem, wszystkimi maszynami udawał się na pole tą okólną drogą; i może by syn zapomniał o tym wiązku i przestał się na niego gniewać i złorzeczyć mu, gdyby nie te zdarzające się na okólnym drodze mijanki maszyn; czasem maszyny wyminęły się elegancko i nie dotknęły się, a czasem jedna na drugą uderzyła i jedna drugiej zostawiła jakiś ślad; a taki ślad musiał przypominać synowi starego człowieka o wiązku i kierować jego wzrok na to wielkie drzewo; bo ten syn miał bardzo delikatną i wrażliwą duszę na punkcie maszyn i motorów i bardzo przeżywał, gdy w maszynie coś się zepsuło albo gdy tylko ona coś utraciła ze swojej wierzchniej lakierowanej urody; a to — przecież wiadomo — miało związek z losem drzewa, które hamowało swobodny wyjazd maszyn w pole i ich powrót na podwórze; i ten wiąz choć stał, był jednak wciąż jakby pod wyrokiem śmierci.

Aż doszło do tego, że na tej okólnym drodze ciągnik syna starego człowieka otarł się przy wymijaniu o ciężki wóz sąsiada; i może by nic groźnego z tego nie wynikło, gdyby się nie spłoszyły młode, nie obeznanne jeszcze z maszynami konie przypięte do wozu, które w momencie przytarcia tych dwóch pojazdów rzuciły się gwałtownie i z wielką siłą do przodu i pociągnęły, a potem wyrwały zaczepiony o wóz ciągnik.

Synowi tego starego człowieka nie się wtedy nie stało, ale ciągnik zmienił się nie do poznania. Stał się swoją własną karykaturą; trzeba było go podnieść, a potem czterema końmi zawlec na podwórze.

Dodajmy teraz do tego wrażliwa i delikatna na punkcie maszyn dusza syna, właściciela uszkodzonego i w dodatku zhańbionego wezwaniem pomocy końskiej siły mechanicznego pojazdu, a nie dziwnym się, że ten syn napełnił się sztucznym spokojem, jaki czasem przywołują ludzie, gdy waga się na rzecz trudną i są na wszystko przygotowani; przywołują go to, bo chcą tą sztuczną powagą i jakby łagodnością przykryć niby pokrywka trudną decyzję, jaka w nich jest, bo obawiają się, aby jej nie rozwał wiatr wściekłego krzyku i aby z tym krzykiem nie uleciała z duszy.

A więc on z tym sztucznym spokojem przemówił do chłopaka sąsiada — przyjdź tu do mnie, chcę ci coś powiedzieć; a gdy chłopak przyszedł, zwrócił się do niego — chcę, abys mi pomógł w obaleniu wiązki.

Później ten chłopak opowiadał, że po tych słowach przeszły go ciarki, ale równocześnie napełnił się ciekawością, jak to ścięcie będzie wyglądać, jak takie drzewo polecie na ziemię; był okrutnie ciekawy, ale trochę się bał, jakby to nie o drzewo chodziło, a o coś więcej; ale też zachowywał się tak, jakby chciał sprawdzić siebie i był także ciekawy, jak to on, taki chłopak do pomocy przy różnych drobnych rzeczach, zabierze się do takiego drzewa.

Syn tego starego człowieka wziął siekiere i kliny, a chłopakowi kazał nieść pilę; zbliżali się do drzewa od strony stodoły, ścieżką biegnącą środkiem sadu; starego człowieka nie było wtedy w domu, bo wybrał się w pole.

— Jeszcze nigdy nie ścinałem takiego dużego drzewa — powiedział syn tego starego człowieka do idącego przed nim chłopaka, którego lekko wyszpanowały te słowa; a to wyszpanowanie z ciekawości chyba było, ale i ze strachu; a i tamien, który te słowa wypowiedział, stracił sporo ze swojej pewności, bo nie odezwałby się tak; ale miał chyba w myśli ten karambol z ciągnikiem na okólnym drodze, bo szedł ostro sadem i ponaglał chłopaka.

— Przydałby się jeszcze ktoś, gdy się obala wielkie drzewo, przychodzi dużo ludzi — powiedział chłopak — dlaczego ich nie ma?

— Ludzie w polu; dobrze, że ich nie ma, mówiliby — zostaw wiąz; a jego przecież trzeba ścinać.

— Tylko nas dwóch.

— Damy sobie radę, odbijemy kawałek plotu, podpijemy od strony sadu, bo wiąz musi upaść na pole.

— A gdy się skreśli, przydałoby się jeszcze dwóch z linami, żeby przychylić drzewo w stronę pola.

— Damy sobie radę.

— Widziałem takie liny przy obalaniu dużego drzewa.

— Nie bój się.

— Nie boję się.

— Musimy sobie poradzić z tym drzewem.

— Nie boję się.

Gdy zbliżyli się do drzewa, syn tego starego człowieka oparł się o jego pleć; po co się opierał, gdy przyszedł ścinać drzewo, dlaczego tak nagle zachciało mu się odpowiedzieć?

Później chłopak sąsiada opowiadał, że syn tego starego człowieka stał długą chwilę przy tym drzewie. Chłopak nawet mówił wtedy do niego — ścinajmy, no to ścinajmy — bo chciał już mieć poza sobą ten strach, który starał się przykryć tym — nie boję się; a przy tym był okrutnie ciekawy, aż drżał z ciekawości, jak będzie wyglądać ścięcie wiązki; a także i dumny, że został wzięty do obalenia takiego drzewa; ale jednak było w nim dużo strachu, bo skulił się jak kurczak przy tym ogromnym pniu; i chciał żeby już było po wszystkim, albo żeby tego wszystkiego nie było.

— Biermy się za niego, albo się nie biermy — powiedział do tego, który go przywołał do pomocy, a teraz oparł się o drzewo i ścierał sobie pot z czoła, jakby się bardzo zmęczył, a przecież jeszcze nie tknął roboty.

— No to nie ścinajmy wiązki — mówił znów chłopak — no to chodźmy stąd.

Wtedy przeżegnał się syn tego starego człowieka i podniósł siekiere do góry i zaczął odbijać żerdź plotu; i chłopak także przeżegnał się.

Po odbiciu i odstawieniu kawałka plotu, wzięli pilę za dwa końce i klękli jak do modlitwy; a potem schylił kornie głowy jak w czas podniesienia.

Alle pila jeszcze nie zachrobotała, choć zębami dotknęła już kory, jeszcze wszystko można ocalić...; ale drgnęła ręka syna tego starego człowieka i drgnęła ręka chłopaka i odprysk kory wyskoczył w powietrze; jeszcze wszystko można ocalić...; pila zachrobotała i drzewo sypnęło ciemnym kurzem; jeszcze wszystko można ocalić, żelazo jeszcze nie przebiło skóry; pila wciąż chrobocze, żółty proch unosi się w powietrzu i żółta ciecz zaczyna ściekać po drzewie; jeszcze wszystko można ocalić, bo dopiero początek ciała, jeszcze może się zbliżnić; pila wciąż chrobocze; jeszcze i teraz można wszystko ocalić, bo jeszcze i teraz może się zbliżnić.

Teraz jest już za późno, teraz już się nie zbliżni, teraz trzeba szybko kończyć... Podklinali i znów pociągnęli pilę i znów pociągnęli, długo chrobotała pila; a potem poszła w ruch siekiera i wiąz zachwiał się i zaraz wykonał ten dostojny, sztywny pokłon w stronę pól i runął z trzaskiem na ziemię, a ziemia jęknęła jakby ją zabolalo.

Po niezwyklej jasności idącej od tej części nieba, którą zasłaniało drzewo, poznał ten stary człowiek, że drzewa nie ma; i przybiegł na to miejsce, gdzie leżał ścięty wiąz, stanął najpierw przy jego wierzchołku, a potem idąc kosiłkiem brzegiem jego ko-

rony znalazł się przy przepiłowanym pniu, gdzie stał syn i ten chłopak od sąsiada i gdzie także leżały pila i siekiera; i wtedy wybuchła kłótnia i rzucone zostały przekleństwa i wezwana u ziemi i niebios pomsta na syna; a cała wieś, a wszyscy we wsi wiedzą, jak to jest, gdy się od nieba i ziemi wezwie pomstę na kogokolwiek.

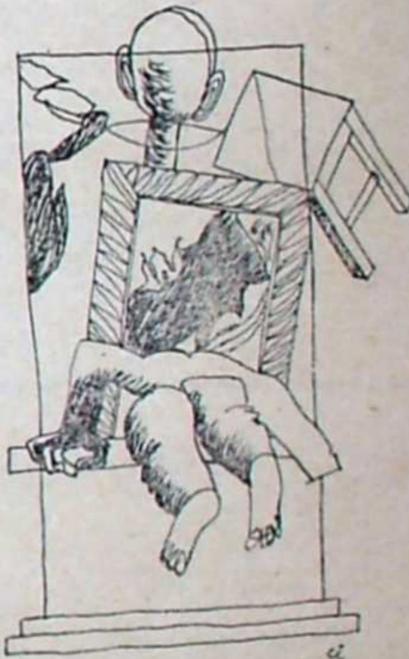
Wtedy niebo i ziemia są niezwykle udużone i natychmiast wysyłają pomstę w ogromne przestrzenie i ona po nich krąży niby zbłąkana kula i szuka swojego celu i zaw sze ten swój cel znajdzie, wcześniej czy później, ale znajdzie i to jeszcze ludzie wiedzą, że pomsta raz zawezwana, nie może już być odwołana i żadne prośby i groźby, żadne maszyny, przyrządy, żadne krople i preparaty tej zbłąkanej kuli szukającej celu nie cofną; i to jeszcze ludzie wiedzą, że pomsta odmienia życie i świat nie tylko temu, na którego została wezwana, ale także temu, który ją wezwał; tak odmienia, że to, co wielkie, może się wydać małe, a to, co ważne, nieważne; odmienia tej dwóch ludzi dzień i noc, każdą godzinę, każdą chwilę i sprawia, że oczy tych dwóch ludzi inaczej widzą pola, drzewa, ziemię i niebo; i sprawia, że ich usta inaczej mówią i ręce inaczej wiszą u tułowia; i że są oni oszołomieni jakby przeszli przez wielką ciemność albo przez wielki ogień.

Syn tego starego człowieka, słysząc ojca rzucającego na niego przekleństwa i wzywającego pomstę, skurczył się i cofnął w głąb sadu i przycisnął dłoń do uszu, żeby nie słyszeć słów tego starego człowieka; jakby to mogło pomóc i zatrzymać w przestrzeni zbłąkaną, a jednak zdążającą do celu pomstę, jakby to mogło pomóc w powrocie do czasu, w którym przekleństwo nie zostało jeszcze rzucone i pomsta jeszcze nie wezwana.

A temu starymu człowiekowi po rzuconiu przekleństwa i wezwaniu pomsty na syna wydało się nieważne i małe to wielkie drzewo, które leżało na ziemi; i z daremnym żalem wplątał się w jego galezie i zaczął się w nich trzepotać niby ogromne ptaszysko i bił w nie rękami i wyjełkwał — przez takie drzewo, przez takie głupie drzewo, przez taki głupi wiąz; a potem — przecież mi nie byłoby potrzebne, przecież mogłem żyć bez ciebie, przecież można żyć bez wiązki...

A ludzie zaraz cofnęli się do czasu, w którym on bronił drzewa, w którym dla obrony tego wielkiego, starego wiązki uczynił z siebie formę milczącego krzyża; i znów potoczyła się kurzawa pytań, i znów odpowiedź płynęła w jakiejś rzece podziemnej.

(Z tomu opowiadań przygotowanych przez PIW)



Rys. E. Inglist

skazani...

Władysław Machejek

reczek z suchymi kośćcami, następne delikatnie usunął zielsko z jej głowy i wyjaśnił mi:

— Ona należała do naszej paczki, rozumiesz... Nie chcę wymieniać słowa komórka, rozumiesz. Zmartwiałe ma przyjąć nagie. No więc kiedy Teoska dowiedziała się o rozwiązaniu partii rok temu, dostala takiego strachu, że się ciągle chowa przed ludźmi. Swojski głos uznaje, ale przed obcym ucieka, jakby spodziewała się czegoś jeszcze gorszego. Zamorzyć się chce, zupełnie bez nadziei, umrze z głodu, nikogo nie ma... Dzieci zmarły na kurzą ślepotę, zmiatała jak tyfus...

Mówiąc to, co stanowiło cząstkę historii całej wsi, wtykał Teosce do ręki pajdę chleba, a kiedy zarabiała ręce nie przyjmowały, zaś ledwie patrzące oczy odpychały, towarzyszył ulamkał kawałek bruntatnego prażniaka i począł wypychać między wargi kobiety o strasznie pobudzonej twarzy, a nawet pomagał sobie palcami, żeby roz-

wrzeć oporną, choć próchniejącą szcękę. Wzniosła oczy na wysokość głowy mojego przewodnika, ale on był nieublagany, wreszcie przekłębła i zaraz następny kęs...

— Nie bój się — powiedział do niej wskazując na mnie i znów poinformował: — Ja ja tak muszę sztucznie karmić, jak kiedyś nas w więzieniu, kiedyśmy ogłosili strajk głodowy. W Kielcach, na Świętym Krzyżu... Szprycę nam dawał w tylną część ciała. Nawet taką piosenkę potem ułożyli.

Posmakowawszy, a raczej oswoiwszy się z czynnością jedzenia, ko bieta przejęła pajdę lepkiego chleba w swoje dłonie, a oczy i wyraz twarzy zaczęły łagodnieć. Jakby świat zaczął wracać do normy i być prawdziwym.

— Słyszałaś o krowie? — spytał chłop-stolarz.

— A ty co?

— Idę do puszczy z towarzyszem, szukać przejsła...

— To towarzysz? — Złękła się i drgnęła gwałtownie, lecz plecy zatrzymały się na drzwiach chałupy.

— Nie bój się, on ucieka z za Wisły.

— Na wschód ucieka? — spytała po przeżuciu wiadomości.

— Na wschód.

— No... no — wybelkotała nie wiadomo z jakim sensem, lecz przesunęła wzrok na mnie z wielkim zainteresowaniem. — Idziesz do lasu, Mikołaj?

— Tak.

— Nabieraj suchych liści, a także mchu, dodaj do tego suchych gałązek jłowca, mocno zetrzyj w rękach po chłopku i przynieś tu, zapalimy, odkadźmy.

— Nic to nie pomoże, Teoska...

— Aloes nie pomoże?

— Nawet aloes nie pomoże.

— To nie warto już żyć. Po co mnie budzisz?

— Warto zobaczyć jak będzie.

— Głupiemu i w piekle radość — zaniosła się charkotliwym złym śmiechem i zaczęła się naigrawać, w zemście za szczęśliwe rozterki, do których ją doprowadził kiedyś ten oto stolarz. To łatwo się wyzowało z sensu słów. — No tak... no tak... Mój Mikołaj, Mikołajek... Mikołaj nie wolał, daj kobyle sieczki... Kobyla piernęła, rozwali-

ła niecki. Zawsze taki był planetnik. Od małości jak pamiętam... Jego mama wołała: — Mikołajku, dzwonią do kościoła, ganiaj rychło! A Mikołajek: — Nie pójdę, nie mam butów. Ale za chwilę, gdy tata powiedział do siebie: — na wiec przyjechali robotnicy, chłopcy — to Mikołajek w te pędy się zerwał i bez przerwy się wyprasał: — Wezmę mamine buty, ano polecę. Do tego go zawsze ciągnęło, do nieszczęścia swojego i ludzkiego. Uwziął się, bo szkoły w mieście nie skończył i nie został księdzem jak chciał jego mama. Po co gniazdo os zdenerwował?

Schylił głowę i odwrócił się, ruszył wolno przed siebie, a ja za nim, głos kobiety jednak biegł jak szczekający pies, a nawet wyforował się przed nas — tropił i węszył: — Do dziś nie ma we wsi spokoju, przychodzą żandarny i pytają jak się zachowuje Mikołajek. A jak się ma zachowywać człowiek, który jest smutny i zgorzkniały? Wrócił z tury do żony, która umarła z głodu po tym jak mu ostatnią paczkę wysłała do więzienia. A dzieci też pomarły na kurzą ślepotę. A na co teraz umrzeć? Hej... hej... słuchajcie: na co teraz umrzeć? Gorsze to od kuli. Lepiej kule chwycić gołą ręką. Ilo jeszcze głupich posieje nasz Mikołajek... Ho ho, na kule, na kule iść, nie na Wągorze Porytowe, tam tylko poganie chodzą w noc świętojańska, a nie chrześcijanie.

Wydobylismy się podszyci niesamowitością i znaleźliśmy się wśród promieni słońca przedzierających się przez zapachy wilkliny, siana i konopi, zanim stoczyliśmy się w niższą część wsi. Z zapłoci wyjeżdżali żołnierze na wozach, strzelcy opierali się plecami o siebie, grzali się, pewni że dla czujności wystarczy twardo trzymać karabin w ręku. Konie w zaprzęgach, po chwilowym zamieszaniu, przybrały miarowy krok. Szarża w rogatywkach pod rząd i w pelerynach na piecach bystro lustrowała marnudne orszaki. Na żołnierzach nie robili wrażenia, natomiast mój starszawy przewodnik przystanawszy zwrótem głowy oddawał honory smutnemu chrykającemu i parszającym korowodowi. Co myślał? Na ostatnim wozie dość stłoczeni jechali miejscowi Ukraińcy w zawadziako pokrzywionych kapeluszach i czaptach, ubrani nieźle, zda się wyszykowali się na dłuższą drogę, czujnie zerkali na eskortę z bagnietami krótkich karabinków nad ramionami. Przewodnik w kaloszach poczekał aż kolumna przejdzie i zniknie w lesie, dopiero wtedy ruszył, jeszcze zahaczając o kilka chałup prawie kurnych, w ich sztykach z rewną przegadywały się łacere słocznal-

Dokończenie na str. 10

ZACZYNALEM w drukarni, jak miałem 15 lat. Właścicielem drukarni był oficer legionowy, brat tego generała Dreszera, co w momencie z samolotem spadł. Drukarnia była w Lublinie przy ul. Kollataja, i to była właściwie PPS-u drukarnia. Zgłosiłem się na początku 17 roku, powiedziałem, jak jest ze mną, że jestem sierotą, że pracuję u wujka-ogrodnika i tak dalej. No i oni mnie przyjęli, tak że ja tam zamieszkałem w drukarni. I to było dla nich dobrze, bo ja po nocach robiłem w dziale maszynowym, robiłem odciski, tajne roboty różne, pismo „Nie rzucim ziemi”.

I także częściowo jeździłem z prasą w teren, a z powrotem pewnego razu dali mi amunicję. Nie byłem w PPS, tylko zwykły pracownik. Dali mi amunicję i dwa granaty rosyjskie, amunicji nie wiem, ile miałem, tylko dosyć nawet ciężko było. Mnie przeważnie odwoził do Lublina jeden inżynier, co w tamtych stronach miał majątek, to było już w powiecie chełmskim. Zaraz niedaleko Lublina był posterunek żandarmerii austriackiej. Przed tym posterunkiem ja wysiadłem, posterunek obchodziłem wokół łakami, inżynier przejeżdżał, żandarmi rewidowali wóz, sprawdzali przepustkę inżyniera i puszczali go dalej, a ja się potem przesiadałem na jego furmanke.

I raz mnie żandarmi przypadkiem złapali na tych łakach z amunicją, bo granaty zdążyłem wyrzucić. Obmacują mnie, skąd to? po co? A ja mówię, że nabierałem tej amunicji w lesie, to ja sprzedaję na szmelt, bo tak wtemczas było. Ale to głupie tłumaczenie, bo jakby amunicja w lesie leżała, to by taka czysta nie była. Wzięli mnie na posterunek i badają. Oni zaczęli tam... trochę dostałem po twarzy. Powiedziałem nazwisko, ale nieprawdziwe, no i oni u mnie znaleźli taki dokument tymczasowy z właściwym nazwiskiem Wiktor Srodek, ale tam zamieszkanie nie było dane, więc mieli sprawdzić. Dosyć, że uciekłem z tej kozy, tylko kapota i czapka została. Przesiedziałem cały dzień w szuwarach, obok w stawie, ale wieczorem mnie złapał na jabłkach ogrodnik jaśnie pani hrabiny i zaprowadził do palacu. To

na białoruskie hrudki, i tam ja ich trochę przerabiałem, bo to były nacjonalistyczne hrudki. Drugi raz prowokację zrobiła policja, siedziałem parę miesięcy, ale już zostałem pozbawiony pracy w drukarni i w ogóle w Białymstoku, no i ja bez wymeldowania nawet wyjechałem do Lublina, na Bystrycę właściwie. Zaczęłem organizować komórki KPP, dwie w Bystrzycy, później w Osmolicach. W Bystrzycy rodzinę miałem, potem się ożeniłem...

Jednocześnie, kiedy powstała „Samopomoc Chłopska”, Stanisław Wójtowicz, który potem posłem został i który był z mną spokrewniony trochę, namówił mnie, żebym pracował w gazecie „Samopomoc”. Kiedy w 30 roku cała redakcja została aresztowana, ona była na Zamojskiej w Lublinie, partia mi nakazała, żebym ja tę redakcję objął jako nakładca i redaktor odpowiedzialny. Bo wtedy aresztowano Pawłaka Franciszka, redaktora odpowiedzialnego, i innych, została tylko młoda siostra Buczka, Zakrzewska. Na moją nominację starosta nie chciał się zgodzić, jednak podpisał, bo oni tutaj w Lublinie nie wiedzieli o mojej działalności w Białymstoku.

Jak objąłem redakcję, to wtedy było ciężko, głodowałem, tylko siostra Buczka czasem przyniosła coś zjeść. Raz pantofel sztyty mi puścił, wstąpiłem do kolegi, technika okręgowego, który pracował u szewca. Jasiu, przyczep mi żelówkę, bo nie zajdę do domu. Siadaj, mów, coś zjesz, bo pewno jesteś głodny. Ja tylko usiadłem na kanapce, a tu puka, patrzę, maski tajniaków. Wchodzą, ucieszyli się, nareszcie cię złapaliśmy, toś popadł.

Wtemczas cały komitet okręgowy partii wpadł, jeden miał wszystkie pieniądze dla kobiet, co ich trochę siedzieli, wszystko przepadło, duża suma. Zabrał nas na Zieloną, badali. Ja byłem strasznie przestraszony, bo nie dałem im się skusić, byłem cięzarowcem, trochę ich tam rozrzuciłem, nie błęknę, oni mnie bili, tak ich tam... nie dałem się przewrócić. Cztery doby mnie męczyli, nie mieli na mnie dowodów, pistoletem dawałem w szczękę od Kłemiarsza Brzeczka. W więzieniu wzięli mnie do lekarza, protokół spisał, miałem 83 urazy, nerkę uszkodzili...

A w sądzie to tak było. W gazecie „Samopomoc” szykowałem artykuł antywojenny. W redakcji wpadł mi w rękę „Rycerz Niepokal-

Tam moja ojczyzna, gdzie groby ojców,
Nie płacz, ziemio, skrzydło jeszcze nie strzaskane.
Ulewny deszcz obmywa żalobę cmentarzy,
Idzie pod stopy ruń, łaki otwierają kwiaty.
Tam moja ojczyzna, gdzie ptaki wiosną
gnieździą, uchodząc myśliwym.
Gdzie rzeka nurt prowadzi,

a pionun ostrzeż przed hańbą,
Tam ojczyzna, gdzie Wielka Niedźwiedź
wiesze srebro mojej dojrzałości.
Odzie siedem jabłoni strzeże sensu
a jeden dąb — usypisk historii.
Tam moja ojczyzna, gdzie oczy synów
wymierzają ułność moim horyzontom.
Gdzie gnane szczytów moje ziarno,
znajdują ogród dla przagnionych kielichów.
Tam moja ojczyzna, gdzie rodzi się Słowo —
znaki krwi, ptak porozumienia.
Gdzie moje niebo nie jest bezniebne,
gdzie ziemia — gлина i ogniem.

grudzień, 1970.

Niełatwy portret Czechowicza

P O śmierci wybitnego twórcy pisze się o nim wspomnienia. Pisze się dlatego, że działała szlachetna chęć ocalenia tego wszystkiego, czym indywidualność twórcy poza samą twórczością zapisała się u współczesnych. Teksty zostały, tamto znika, zbierzmy się i naszkicujmy zbiórów portret wielkiego — taka intencja przyświeca wszystkim drukowanym wspomnieniom.

Grzej z realizacją. Nie do przewidywania jest tu sprzeczność zasadnicza, niepodważalna, „immanentna”. Wspomnienie ma wydobyc sylwetkę twórcy, nie ma zaś być analizą jego dzieła, bo ta już została dokonana w omówieniach krytycznych, względnie da się wydedukować z tekstów. Postać, a nie dzieło. Z kolei — pisać o twórcy nie można inaczej, niż potrącając o jego twórczość, bo przecież wspomnienie nie może być tylko mniej czy więcej zaprawionym refleksją dziaruszem znajomości. A więc — jak najdalej od wszystkiego, co może nosić charakter krytyczno-literacki, bo do tego nie potrzebna jest osobista znajomość. W rezultacie powstaje rzecz hybrydyczna, niespójna, bardzo niezdecydowanym meandrem przewijająca się przez sprzeczne postulaty dwóch sposobów. Nie pokonamy tej przeszkody nawet wspomnienia o Gałczyńskim, co do którego mogło się wydawać, że jego życie, tak obfitujące w materiał anegdotyczny samo się rozpisze na kartkach memuarjnego albumu.

Obecnie dzięki inicjatywie Wydawnictwa Lubelskiego mamy „Spotkania z Czechowiczem”. Bardzo potrzebna książka i bardzo na miejscu — jeśli się zważy, że Lublin przez długi czas był miejscem twórczości poety, że tu zadzierżgnął znajomości, które towarzyszyły jego poetyckim początkom. Ale — jak się rzekło — nie sposób wyczytać z tych stron Czechowicza — człowieka, Czechowicza — indywidualność, Czechowicza — samego. Chyba dlatego, że życiorys autora „Kamienia” tak mało został sposobności przyszłym pamiętnikarzom, że podstawa bezmała wszystkiego, co się da o nim powiedzieć, tkwi w kilku jakże niepokojących zeszytach jakże olbrzymiej poezji.

Pisać o kimś po trzydziestu latach... Tak, zaciera się kontury pamięci, mechaniczny upływ czasu niszczy miejsca na fotografil nie tylko te najmniej ważne. I z konieczności opierać się trzeba na autentycy niezupełnie autentycznym. Przez zdeformowanie dawnej perspektywy, przez przesunięcie akcen-

tów. Więc wszystko, co wchodziłoby do marginalia tematu, staje się cenne i przypomnienia godne. Ale czy na tę właśnie okoliczność przydatne? Spójrzmy:

Kiedy w 1915 roku nastąpiła w Lublinie okupacja austriacka, władze okupacyjne założyły w tym mieście polskie seminarium nauczycielskie żeńskie, które, według ich intencji, miało wychowywać przyszłe nauczycielki w duchu wiernopoddańczym dla monarchii austro-węgierskiej. Dla przeciwdziałania temu polskie czynniki społeczne powołały do życia dwa podobne zakłady, ale koedukacyjne. Wspomniane już 4-letnie Seminarium Nauczycielskie im. Szymona Konarskiego zorganizowały czynniki zachowawcze, a 3-letnie Seminarium Nauczycielskie powołane zostało do życia przez środowisko pepsowskie. Zrozumiałe jest, że stosunki między nimi układały się na zasadzie rywalizacji. Sprawa jednak została przesądzona u nowo powstałym Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Warszawie. Postanowiono tam (...).

I tak dalej. To o Czechowiczu?

Czytelnik niech się poczuje przeproszony za przydługi cytat, ale chodziło o wykazanie, że „nieczechowiczowskie” obszary tekstu mają w nim miejsca stosunkowo wiele, czemu nie są winni nawet autorzy, wśród nich wyżej zacytowany. To rezultat już nie samego zaniku pamięci, ale pierwszej trudności, o której powiedziane zostało w wstępie.

Albo przykład drugi:

Widzę Czechowicza jako bożka słowiańskiego wrótcego z liści i z zachodu słońca własną śmierć, zaklinacza ciemności i pożarów wojennych.

Są słowa — słowa i są słowa — pozasłowa. Takim pozostawieniem otwierającym nam zakłete bramy naszego życia i śmierci operował Czechowicz jak nikt. Niektóre wiersze nastrojowo-milozne tego nowatora są czułym i dalekim echem Ballad i romansów Mickiewicza. Odczuwamy w nich pogranicze snu i śmierci.

To znów nie o Czechowiczu. To o jego poezji.

Jeśli w uwagach powyższych znalazło się zbyt wiele grymasów, nie odnosi się one do inicjatywy wydawnictwa, ani pracy autorów. Raczej spowodowane zostały faktem, że do tak cennego przedsięwzięcia okoliczności pozwoliły przystąpić zbyt późno. Warto jednak wytknąć jeszcze mankamenty książki tym dokończliwsze, że łatwe swego czasu do usunięcia. Przede wszystkim zbyt

mała ilość autorów lubelskich. Jeśli usprawiedliwiona jest nieobecność Wacława Gralewskiego, który wydawczy oddzielnie książkę o Czechowiczu nie chciał się powtarzać, to raczej za niedopatrzzenie należy uznać pominięcie byłego lublinianina Jerzego Pleśniarowicza. Znajdował się kiedyś w najbliższym poście kregu i jego świadectwo mogłoby wnieść wiele na temat recepcji tej poezji w środowisku młodzieży literackiej. Tego książkę brak.

Z troskliwości też, z jaką „Spotkania” przyjmujemy, nie pozwolimy buszować bezkarnie paru chochlikom redakcyjnym i drukarskim. Oto niektóre z nich:

Na str. 98: Zaznaczył, że na mojej pracy specjalnie mi zależy, jako pochodzącej do jednego z niewielu już żyjących najbliższych przyjaciół poety. To samo „do” zamiast „od” mamy na str. 444, gdzie czytamy: A tę najtrudniejszą odróżnić dziś do komunatu straszącego wszystkich debiutantów (...).

Na str. 112: Ale ochrzczone po apollinaire'owsku dziecię umarło jeszcze przed pociągami: „Strefa” nie ukazał się w ogóle. Rzeczownik „strefa” raczej nie zmienił płci.

Znów na str. 112: Jaka była opinia Czechowicza o pierwszym numerze „Kamienia”, o tym była już mowa. Owszem, była, ale w książce K. A. Jaworskiego, z której tu został przedrukowany wyjątek. Nie była zaś w tekście „Spotkań”. Tu się należała wyjaśniająca ingerencja redakcji.

Na str. 316 i 318 spotykamy nazwisko Leona Płoszewskiego. Chodzi o Płoszowskiego.

Na str. 319 dziwoląg: Polska Łusca, zamiast „Ludowa”.

Na str. 354 niby drobniak, ale tytuł wiersza hildur baldur i czas Czechowicz nie zaopatrzyl wykrzyknikiem.

Na str. 360 autor wspomnienia ujmuje w cudzysłow wyraz niejasne nieznanne w czym tkwi sugestia, jakoby pochodziły od Czechowicza. Ciepło, ciepło, ale całkiem trafnie będzie „nienazwane niejasne”.

Na str. 445 i 446 na skutek wadliwego użycia znaków pisarskich pewne partie tekstu pochodzące od autora wspomnienia cytują się jako wypowiedzi Czechowicza.

Na koniec: Jeśli „słowo wstępne” posiada tytuł na paginacjach czyli nad tekstem, niechby go miało również przed tekstem. Albo — albo. Również imię i nazwisko autora wstępu zaznaczone inicjałami pod tekstem niechby identyczne — a nie w pełni — zostało uwidocznione w spisie treści.

Alte Czechowicz miał „szczęście” do błędów drukarskich. Okładka tomu „z błyskawicy” ma napis „w błyskawicy”, w wierszu „opowiadanie” z tomu „nuta człowieka” został opuszczony cały wers. A więc i tak nie przekroczyliśmy normy.

Z. M.

„Spotkania z Czechowiczem”. Praca zbiorowa 45 autorów wspomnień i 18 autorów wierszy poświęconych Czechowiczowi. Zebrał i opracował Seweryn Polak. Wydawnictwo Lubelskie, 1971 rok, str. 339, 14 reprodukcji zdjęć, cena 49 zł.



Okupacyjna KENNARTA Wiktora Srodka, który ukrywał się wówczas pod fałszywym nazwiskiem „Michał Baranowski”.
Fot. CAF

była polska hrabina, mogła mieć około 30 lat najwyżej. Skąd ty jesteś? czy? Więc ja mówię, że jestem z organizacji z Lublina i tak dalej. Dostałem wtedy suchą kapotę, czapkę furmańską i mnie odwiózł jeden furman do Lublina. I takie było moje pierwsze przeżycie.

Do tej drukarni to przychodzili i z PPS-prawicy, i SDKPiL, a kiedy się partia komunistyczna tworzyła, to się przyłączyłem dyskusjom, jakie prowadzili. Dużo ludzi wtedy znałem. Jan Henpeli wtedy przychodził do redakcji. Tam niefar to mu ci trochę nadokuczał, ale to był bardzo uczciwy człowiek, dużego wzrostu. Na początku 15 roku, kiedy już Polska była, zostały chyba wydane dwa numery „Prawdy” komunistycznej. Po tym zabroniono drukowania prasy komunistom. A ja zaraz zostałem aresztowany, że brzoń posiadałem. Aresztowali mnie ci, co do PPS do bojówki należeli. To był tyłko przedtę wtedy. Chcieli ze mnie zrobić takiego informatora, żeby coś tam... no żebyśmy donosili, w razie co będzie drukowane komunistyczne. Al się redaktor, co był taki hrabia odezwadowany, o mnie upomniał. Ale ja i tak miałem wtemczas brzoń, została już na zawsze w murze...

Potem drukarnia została sprzedana dla firmy w Białymstoku, Wydawnictwo Winawera, zdaje się. I ja z drukarnią wyjechałem do Białegostoku. Zaraz w 22 roku na wiosnę wstąpiłem do komunistycznej partii, tak że w 23 zostałem aresztowany pod zarzutem drukowania nielegalnych ulotek, ale nie mi nie mogli udowodnić. Ja wtedy w Białymstoku wyszedłem na wieś,

lanej”, i tam był wypisany skład armii polskiej od szeregowca do marszałka, jakie pułki. Ja to wszystko przepisałem i przyszło mi do głowy, żeby pod tym przepisać z kalendarza skarbowego kosza armii, ile kosztuje żołnierz, koń, utrzymanie. Ja to wszystko opisałem i chciałem z tego artykułu zrobić, ale starosta odrzucił i włożyłem do biurka w redakcji. Znaleźli i jak mnie zamknęli, chcieli mi zrobić proces o szpiegostwo. Ale ponieważ nie mieli dobrych dowodów, więc ja postanowiłem sam się bronić, może coś tam będzie głupio, ale partii nie skompromituje, i nie przyjąłem adwokata. No i wybroniłem się, choć prokurator żądał kary śmierci, a potem 15 lat...

Pawła Niewinnego, który potem został komendantem oddziału AL im. Bartosza Głowackiego w powiecie lubelskim, znałem jako chłopaczka jeszcze, ale lepiej tośmy się poznali w czasie okupacji, w Bystrzycy. On przychodził do mnie na pogawędki takie, to ja mu wyjaśniałem i on coś z tego skorzystał. Przedtem jeszcze to on chodził do szkoły rolniczej w Zakrzówku, gdzie poznał Szymańskiego Tadeusza — „Lisa”. Gdy się spotykaliśmy z Niewinnym, to jeszcze z PPR nie było kontaktów. Aż raz, zima 42 albo 43 roku, przechodził z po-

Dokończenie na str. 15

Jugosławia 1972 (2)

„Abstrakcja nie idzie”

Dokończenie ze str. 2

znalazył się tam i książki innych wydawnictw. Aby księgarnia miała dochód, handluje nie tylko książkami, ale i magnetofonami, aparatami fotograficznymi, nie mówiąc już o artykułach papierniczych, długopisach, widokówkach itp.

W Słowenii jest sześć wydawnictw. Trzy mieszczą się w samej Lublanie, a trzy w terenie.

— Czy te terenowe są gorsze od wydawnictw mających swą siedzibę w Lublanie?

— Nie, my nie oceniamy wydawnictwa według siedziby, ale według wydawanych pozycji. Niekiedy w terenie pod tym względem jest nawet lepiej. Zwracamy też uwagę na estetykę książek. Po prostu trudno sprzedać, nawet dobrą powieść, jeśli okładka nie przyciąga wzroku potencjalnego nabywcy. Dużą uwagę

zwracamy na proklame. Proszę spojrzeć, oto kilka próbek.

Czytam: „Veliki atlas kweta”. 500 stron. Cena 320 dinarów. Prospekt wabi kolorami. Może zachęcić niedjednego. Ale jednocześnie przypominam sobie, że do nabycia naszego atlasu świata nikogo nie trzeba było namawiać. Teraz można nabyć go w antykwariatach po znacznie wyższej cenie. Inny prospekt przedatwa książki dla dzieci. Zestaw sześciu pozycji od 190 do 237 dinarów. Inaczej mówiąc — cztery męskie koszule dobrego gatunku!

— Takie prospekty roznosi się po domach. Ludzie zapoznają się z nimi, później przychodzi agent i przyjmuje zamówienie. Obliczamy, że w ubiegłym roku na jednego mieszkańca Słowenii przypadł zakup jednej książki. Ponieważ jednak książki są dość drogie, wiele osób wypożycza je w bibliotekach.

— Płacąc stały abonament, czy bezpłatnie?

— Jeszcze inaczej. Każda książka ma swoją cenę, powiedziałbym, wypożyczeniową. Najtańszą — podręczniki. Do dinara. Ale są powieści, z których wypożyczenie płaci się nawet po pięć dinarów.

To już zupełnie nie tak jak u nas. System słoweński nie znajduje u mnie aprobaty, chociaż, kto wie, gdybyśmy go wprowadzili mogłoby się skończyć kłopoty dyrektora WBP, Tadeusza Jeziorskiego. Nie zachęcam jednak do tego. Zresztą biblioteki w Słowenii i tak nie są samowystarczalne, korzystają bowiem z dotacji rad miejskich i gminnych albo Związku Organizacji Kulturalno-Oświatowych.

Marek Adam Jaworski

LZGraf, Zam. 1890, 10.490, D-3

Kamena str. 11

Piosenka dla zmarłej

Wszystko jest bez sensu,
Wszystko pogmatwane
Jak te winorośle,
Gąszczem cmentarniane.

Wszystko, co się złączy,
Znowu się rozłączy,
Na kształt pogmatwanych
Na cmentarzach pnączy.

Wśród wielkiej miłości
I wszystko — bez sensu —
Lecz bardzo jest święte.

Która leżysz w trumnie
Pomiędzy kwiatami
Wiedz, że Dionizos
Modli się za nami.

Wiedz, że przyjdzie święty,
Ramieniem ogarnie,
Wszystkie wytłumaczy
Przebyte męczarnie.

Bo sens nie w cierpieniu
Ani jest w radości,
Ale w cierpliwości
I wielkim czekaniu.

Niech cię więc nie zdziwią
Obłoki ni zorze,
Wszystko jest na chwilę
I wszystko jest morze.

Wszystko jest od Boga
I do Boga droga
Niby Jakubowa
Drabina uboga.

Niechże ciebie w grobie
Nic nie niepokoi:
Nocek groźny miesiąc
Nad mogiłą stoi.

A wiosną — co wiosny —
Przez lata i wieki
Kwiaty na mogile
Podniosą powieki.

Wnet pogasną liście —
Wszystko trwa tak krótko,
Ja się też przylutę
Do ziemi cichutko.

Zapomnieni dawno
Wyrośnięci kwiatami,
Bosiem Dionizos
Modli się za nami.

Jarosław Iwaszkiewicz

NAJBARDZIEJ wyrazistą cechą wiersza Iwaszkiewicza jest jego muzyczność. Już w samym tytule „Piosenka dla zmarłej” wysuwa poeta ten element na czoło. Uczni krytycy, reagujący na pewne cechy na zasadzie odruchu warunkowego jak pies Pawłowa, wykrykują oczywiście: muzyczność czyli modernizm! Bo modernizm właśnie podjął cechę muzyczności jako zasadę kreatywną poezji.

Muzyczność, nastrojowość, estetyzm, wiele cech łączy Iwaszkiewicza z Młodą Polską. To prawda. A jednak zachodzi zjawisko zadziwiające. Z perspektywy, jaką daje nam czas, widzimy wtapienie się w podłoże młodopolskie tych poetyk, które się od niego programowo i konwulsyjnie odcinały. Widać to na

przykładzie Tuwima, a nawet niekiedy — o dziwo! — Przybosa. Iwaszkiewicz nie odcinał się od niczego, emanował swoją poezją w sposób naturalny dla swojej osobowości i swojej formacji kulturowej. W ten sposób wyrastał ponad to, co określa się jako „wiersz skamandrycki” i ponad zależność od takiego czy innego prądu.

Nawiasem mówiąc — używa się do dziś w opracowaniach naukowych terminu: „wiersz skamandrycki”, choć nic takiego jako żywo nie istnieje. Poezi „Skamandra” różni się między sobą diametralnie. Jedno co łączy ich ze sobą — to stosunek do tradycji poetyckiej. Jest to cecha wspólna tylko w odniesieniu do poetyki awangardy zrywających z wierszem regularnym. Byłby więc „wiersz skamandrycki” opozycją wobec wiersza awangardowego. Taką negatywną definicją nie uprawnia jednak chyba do uogólnienia pojęcia „wiersza skamandryckiego”.

„Piosenka dla zmarłej” to jeden z dawniejszych wierszy Iwaszkiewicza. Zamieszczony był w cyklu „Dionizje” z „Księgi nocy”. Powstał więc przed rokiem 1930. A jednak w wierszu tym dostrzec można wiele głównych tendencji poezji Iwaszkiewicza, tych nawet, które tu w załączku — rozwiną się dopiero później, w powojennych tomach, w ostatnich znanych nam wierszach.

W tym wczesnym okresie twórczości Iwaszkiewicz bardzo głęboko związany był z muzyką, przyjaźnił się z Karolem Szymanowskim, który pozostawił nieprześcignione dotychczas własne transpozycje motywów pieśni ludowych. Muzyka, a w muzyce — ludowość — to były jakby bramy do samej sztuki, sztuki pojmowanej jako sposób życia. W słowej „Piosence” Iwaszkiewicz sięga do jednego z najpopularniejszych rytmów ludowych. Wiersz ten mógłby być zapisany nutami w takcie na trzy ósmie. Słowa w pełni zastępują tu zapis nutowy. W pieśni ludowej spotykamy się z tym rytmem co krok. Jest natrętnie niemal prosty, czepiający się pamięci, obsesyjny:

Zdradziłeś mnie, Jasiu
w rucianym wianeczku
i ja ciebie zdradzę
w twojem osteweczku...

Albo jeszcze dosadniej:
Była babuleńka
Rodu bogatego
Miała kozioleńka
Bardzo rozpustnego...

Sięgnięcie po ten rytm ludowy dla wiersza mówiącego o sprawach życia i śmierci, o Dionizosie, co modli się za nami, o bezsensie i o sensie istnienia — wydaje się swobodną przekorą poety. Ale jest to przekora mądra — z góry określająca jego filozoficzną postawę. Bo czyż pieśń ludowa nie jest pieśnią podejmującą najważniejsze, powszechne sprawy życia ludzkiego i śmierci? Czyni to zaś z całą prostotą, jakby z naiwną nieświadomością dotykania tego, co najważniejsze. Jak! jest

stosunek ludowej pieśni do tych powszechnych spraw życia? Jest to stosunek mądrej akceptacji, przyzwolenia. Tak jest — więc tak być musi, bo taka jest zasada życia. Tę filozoficzną postawę akceptacji przyjmuje Iwaszkiewicz za swoją. Zawarta jest ona już jakby w samej tkance rytmicznej wiersza. Tak więc gdy czytamy:

Wszystko jest bez sensu,
Wszystko pogmatwane
Jak te winorośle,
Gąszczem cmentarniane

godzimy się z poetą od razu, że tak jest i tak być musi, chociaż jeszcze dobrze nie wiemy, co oznacza powtarzające się „wszystko” i jakie „wszystko”.

Jerzy Kwiatkowski, najwnikliwszy z dotychczasowych krytyków Iwaszkiewicza określa postawę jego jako „rezygnacyjno-kontemplacyjną”. Trudno się przeczyć, już po tym co tu powiedziane, zgodzić z pierwszym członem tego określenia. Rezygnacja wynika z bezsilny, z opuszczenia rąk. Rezygnacja jest postawą słabości. Akceptacja — postawą siły. Iwaszkiewicz nigdy i nigdzie nie wyraża rezygnacji. Jest na to zbyt silny. Iwaszkiewicz akceptuje życie, cierpienie i śmierć. Jest w muzyce Szopena, w samym nawet Marszu żalobnym taka potakująca, obsesyjna nuta powtarzająca jakby swoje uporczywie; tak, tak, tak. Podobna potakująca nuta jest i w poezji Iwaszkiewicza. Mądre przyjęcie, zaakceptowanie cierpienia i przemijania jako zasady życia — to nie to samo co rezygnacja.

A przecież wszystko jest absurdalne, „wszystko jest bez sensu”. Te słowa wzięte są niemal z mowy potocznej, jakby wyjęte z ust kogoś, kto znalazł się właśnie wobec faktu cudzej śmierci. W takiej sytuacji pierwsze, co się nasuwa — to wrzenie absurdu. W śmierci jest coś, co przeczy naszemu poczuciu sensu, coś absurdalnego. Ktoś był, a oto go nie ma. Jak można przestać być, skoro się było? Na to dojmujące pytanie odpowiadamy sobie okrzykiem: „wszystko jest bez sensu!” z właściwą w takich momentach skłonnością do uogólniania.

Wszystko, co się złączy,
Znowu się rozłączy...

Gdzieś w podtekście śpiewa nam się inna ludowa piosenka o tym, że:
Bóg zaczyna i Bóg kończy
I kochające serca łączy.

Jesteśmy tu bowiem w kręgu ludowej mądrości, porzekadeł prostych, a przechowujących wielką mądrość doświadczenia ludzkiego

Która leżysz w trumnie
Pomiędzy kwiatami...

I znowu śpiewa się nam gdzieś w głębi inna ludowa piosenka o dziewczynie, co marzy sobie o śmierci w dniu wesela:

Chłopcy by mnie nieśli
Kapela by grała,
Ojciec by żalował,
Matka by płakała.

Dla dziewczyny z pieśni ludowej myśl o śmierci ma wiele uroku. Urok śmierci — jest również tym, co fascynuje poetę. Ten urok śmierci, tę wyrafinowaną, a przecież jak się okazuje — ludową fascynację — łatwiej nam przyjąć w aurze ludowej piosenki. Iwaszkiewicz wie o tym i świadomie urok śmierci osłania pozorną prostotą wiersza. Na pewno dotykamy tu sprawy bardzo ważnej dla całego piśmiennictwa Iwaszkiewicza. W swojej prozie powieściowej i nowelistycznej jest Iwaszkiewicz mistrzem w obrazach i opisach śmierci. Zawsze przyciągają one szczególnie jego wyobraźnię. Są różnorodne, ale zawsze niezwykle wyraziste i niezapomniane. Jest w nich zawsze coś z piękna nawet w odrażającej fizjologii. Śmierć — można by powiedzieć paradoksalnie, jest najważniejszą sprawą życia. To wynikałoby i z poezji i z prozy Iwaszkiewicza. Godzi się on na ten paradoks i na ten absurd. I dopiero wtórnie szuka sensu dla bezsensu.

Bo sens nie w szarpaniu
Ani jest w radości,
Ale w cierpliwości
I wielkim czekaniu.

Wydaje się, że samym sensem absurdu jest zgoda na ten absurd sensem absurdu jest jego akceptacja. Oczywiście „cierpliwość” i „wielkie czekanie” — dadzą się zinterpretować jako pojęcia moralne, niemalże chrześcijańskie. Cierpliwość — jako wytrwałość w znoszeniu cierpienia, wielkie oczekiwanie na to, co może potwierdzić wielkie metafizyczne nadzieje człowieka. I taka interpretacja tej zwrotki jest możliwa, zwłaszcza, że sens religijny zdają się zawierać słowa:

Wszystko jest od Boga
I do Boga droga...

Ale w dalszym ciągu wiersz porzuca ten wątek i daje inną, mniej zawrotną od religijnej nadzieję, nadzieję na to, że wszyscy rozłączeni spotkają się w biologii przemian ziemi, wszyscy wyrosną na wiosnę kwiatami. „Cierpliwość” jest więc może raczej upomnieniem dla tych, którym zbyt długo rozłąka z umarłymi. Wkrótce i żywi pójdą za zmarłymi, aby wraz z nimi „przylutulić się do ziemi”, złączyć się z nimi w ogólnym zapomnieniu i wyrosnąć kwiatami. To jest droga ludzka, to jest sens biblijnej Jakubowej drabiny — przychodzić i odchodzić. Przemijanie jest sensem, celem i zasadą życia. Wiersz Iwaszkiewicza jest nie tylko wyrazem zgody na tę zasadę, wyrazem postawy akceptacji, ale przynosi też pociechę. Pociecha zawarta jest i w samej świadomości przemijania jako zasady istnienia i w elemencie piękna, jaki otacza przywoływane po wielokroć „wszystko”. I cicha postać umarłej wśród kwiatów i obłoki i zorze, i zdrobniała „nocka” z mroźnym „miesiącem” (chyba dla jeszcze silniejszej ekspozycji ludowości) i kwiaty podnoszące powieki na mogile — wszystko piękne pociesza nas we wszystkim absurdalnym.

Samo piękno muzyki wiersza — dodaje swoją pociechę do pociechy innych uroków. Piękno w tym ujęciu Iwaszkiewiczowskim nie jest samym estetyzmem tylko, widąc tu wyraźnie jego moralną funkcję. Piękno jest tym, co wybacz za nas śmierci, głodzi grzech absurdu, pociesza nas w niemądrym buncie przeciw temu, co i tak musimy zaakceptować. Konsolacja czyli pociecha jest funkcją moralną sztuki. Nazwałabym więc „rezygnacyjno-kontemplacyjną” jak Kwiatkowski, ale: akceptacyjno-konsolacyjną. Rozróżnienie to jest chyba dość istotne.

Jeden jeszcze element budzi zainteresowanie w tym wierszu i jest dla czytelnika nieco zaskakujący. To Dionizos, który „modli się za nami” jak święci w litanii do wszystkich świętych. Dionizos — bóstwo starożytne symbolizuje i miłość życia i ideę samozatrąty w śmierci, a więc miłość życia i miłość śmierci. W odprawianych ku jego czci misteriach spłatały się zapewne elementy seksu i śmierci. Ten bóg starożytny musiał szczególnie w tym czasie pociechać młodego poetę, skoro poświęcił mu on cały cykl Dionizji. Z wierszy tych „Piosenka dla zmarłej” najbardziej wyróżnia się osobnym tonem i dojrzałością. Dionizos zaplatał się tu w motywy ludowe i nawet chrześcijańsko-biblijne jakby z młodzieńczej przekory. Schylający się nad zmarłą z otwartymi ramionami — przypomina trochę ewangelicznego Chrystusa, ale modli się za nami ciągle jeszcze i w ostatniej strofie jak jeden ze świętych pańskich. Modli się, i jego modlitwy na pewno zostaną wysłuchane, bo modli się on tylko o porządek świata; na pewno po życiu przyjdzie śmierć, na pewno śmierć stanie się dla wszystkich powrotem do ziemi, do jej dźwięków, z zorzami, obłokami i porami roku, do jej nieśmiertelnego piękna.

Wiersz mówiący o śmierci pozostawia nas w cichym smutku, ale smutek ten przechyla się sam w radość, w miłość życia. Radość ze smutku. Siła — z rozpacz. Poezja jest sztuką metamorfozy, miejscem przemiany jednych wartości w drugie. Jak to się dzieje, nie wie nawet sam poeta.

Poezja Iwaszkiewicza jest wieloraka, różnorodna, oczywiście nie można jej całej określać poprzez jeden wiersz. Są jednak w tym wierszu elementy, które rozwinie Iwaszkiewicz w dalszej swojej twórczości. One więc stanowią będą dominantę tej poezji. Oprócz samej sprawy przemijania, różnych aspektów życia i śmierci jako problemów istnienia — z wiersza tego poeta wydobędzie i rozwinie element artystycznej prostoty.

Jak nas wtedy
syppkim śniegiem
zasypało
powiedziałem mamomamo
to za mało

Wiele ostatnich wierszy Iwaszkiewicza realizuje trudną poetykę prostoty. Jest to i prostota wiersza i prostota uczuć, do jakich odwołuje się poeta — aż do dziecięcego okrzyku „mamo”. Błądząc meandrami jak rzeka, poezja Iwaszkiewicza przedziera się do tej prostoty, która już zaprojektowana jest jakby w „Piosence dla zmarłej”. Ten wiersz — jeszcze zmieszany z różnymi elementami, nie pozbawiony wyrafinowania — wskazuje jednak nurt główny poezji przemijania, zgody i pociechy.

Witold Zechenter

Zapomnienie

Senną rzeką zapomnianej pieśni
płynę zgubiony w nieznaną przestrzeń.
Wiem, że mi prześni się wszystko na nowo
i nic nie zmieni się.
I znów zapomnę.

Wolam w pustkowi, chwytam chwilę w ręce,
gry wzrok bez powiek spogląda na mnie
szycerco —

i ciągle coraz więcej zapominam
o dniach,
które jak krzyża sterczą w oddaleniu.

Skrzydła

Nie wyl się w górę,
nie warto —
w górze jest rzadsze powietrze,
trudniej ci będzie oddychać,
zmęczy się serce.

Masz tutaj wszystko, co trzeba...
Skrzydłami dzielą się ptaki,
im zostaw błękit nieba,
im zostaw lot.

Nowa wiosna

Już z pół odszedł śnieg,
już się zieleni młode zboże.
Czy będę jadł z niego chleb?
Być może.

Już tu i tam na drzewie pęk
nową radością tchnie.
Czy owoc z niego trafi do mych rąk?
Któż to wie.

Jak co rak puka tak samo
nowa wiosna złota i białatna.
Gdzieś mi tam już chyba zapisano —
ostatnia?

Jan Lohmann

Wiosna

tak bardzo pragnę
wtulić się w ciebie
wstyd mi
chciałbym wtulić w ciebie siebie i twarz
móc się jak dziecko rozplakać

tu gdzie życie przegrałem — znalazłem
co nie jest farbowanym fałszem
wśród klasów podobnych do siebie

czzerwone słońce
które zieleni śpiewa
dziewczynę z zielonymi oczami
zmieniającą się w mych oczach w kwiat

nie jestem sentymentalny
odpycha mnie Laura i Filon
ciąży mi moja kłeska
świadomość — żyjesz choć powinienes nie żyć
wiesz
byłem kiedyś na wojnie
i może za mało się bałem
lub bardziej wierzyłem w prawdę niż w swą
morderczą moc

o moja czarna dziewczyno
jak partyzancka noc oddaj mi kule „kocham”
i zabij moją wiosnę
bo na nią nie zasłużyłem

Bolesław Fac

Śledziowe korso

Dzwonek śledzia głuchy
niemy w gardle utyka
śnięty ślad srebrzystości do ości

Na post z octem
zwija się śledzik —
rybi tajniaczek
sól mu wytarła ślepią
niewidomy morze trapi
po śleć skąd śmierć

bo szyper tnia fleszem grzbiet
klinie mięsem ryb
aż fala szła
ławicą słów

Śledzik
to pieszczotliwe imię tropu
znalazł barman w słoju
tam się kwasilo
więc sięgnął ręką w dezynfekcję
i z pełną szklanką w pięści jęczy
jak bawół podbechtany burzą

Dorsz bez wątroby i bez głowy
z cebulą zamiast jader kmięć
płyń pod śledzia
łądrum w płacz

Ucho od śledzia
chcesz pan koleś
chcesz dostać
asie
w bok śledziony
więc nie
więc cicho siedź

Dorsz na patelni
taki smród
szedł po pokoju
w starej kufajce

A śledź piwonią marza jest
nie myty piwem
nie w pomadzie
nie elegancki gość to
a jednak liczy się
Liczą na beczi
i tylko ślepy los
kładzie go na łopatki
patelni

Edward Stachura

Jestem niczyj

Miałem ojca, miałem matkę,
Miałem brata, miałem siostry,
Miałem też, niech szumi wiatr,
Miałem też przyjaciół trzech!
Było dobrze, było źle,
Ale jakoś zawsze było!

Potem ona się zjawiała,
Wszystko dla niej porzuciłem
I kochałem ją, kochałem
Śmierci nic się nie lękałem!
Potem poszła, luty był:
Już nie żyje ten, co żył!

Nie mam ojca, nie mam matki,
Nie mam brata, nie mam siostry;
Nie mam też, szum wietrze, szum,
Nie mam też przyjaciół już!
Chodzę tutaj, chodzę tam,
Z tłumem ludzi zawsze sam!

Nie mam już nic!
Nie mam już nic!
Ale też nikt mnie nie ma!
Nikt mnie nie ma,
Nikt mnie nie ma,
Nie ma mnie nikt!

Jestem niczyj!
Jestem niczyj!
Jestem niczyj!

Już nie będzie za mną chodził mój cień,
Kiedy na nowo się narodzę;
Straszny i zwęglony, czarny mój cień:
Dziwem gromem rażone w lesie!

Spal ja będę w nocy, a nie spal w dzień,
Kiedy na nowo się narodzę;
Jasny, bez demonów będzie mój sen,
Zaś na jawie nie zjedzą mnie pleśnie!
Pójdę bezpowrotnie daleka, hen,
Kiedy na nowo się narodzę;
Wszędzie na miłość głuchy jak pień
Będę w sadach obrywał czereśnie!

Co warto

Zwalić by można się z nóg
Co rusz!
Co krok!
Co noc
To słońch
I rozpacz!

Ale czy warto?
Może nie warto?
Chyba nie warto...
Raczej nie warto;
Nie, nie — nie warto!

Zginąć by można jak nic:
Do żył
Jest nóż!
Lub w dół
Na bruk
Z wysoko!

Ale czy warto?
Może nie warto?
Chyba nie warto...
Raczej nie warto;
Nie, nie — nie warto!

Jechać by można do miast!
Lub w las!
Na błonia!
Na koń
I goń

Nieboskoni!
O, tak — to warto!
Tak, tak — to warto!
Bardzo to warto!
Zawsze to warto!
Jeszcze jak warto!
O, tak — to warto!

Tadeusz Chudy

Wino

z chłodu gór
skąd światło
dziewczyna przychodzi

jestem wino — mówię —
i idzie
do głowy

a ja młodość —
nigdy nie dopite wino
odchodzi

ręce chłód serce ból
tylko oko słońca nad nami
ciągle pełne miodu

Józef Wiesław Zięba

Krzyk nas zabiera
i lala przelewa się po nas
przestałeś rozumieć
przestałeś nazywać
bojaźń
jedynie w bojaźni twój udział

leżąc na płask
cienką warstwą
w przestrzeni wyszoch

a chciałeś pozostać
a chciałeś przetrwać

nowym kręgiem chciałeś powrócić
echem z lasu odbitym
po krawędziach

i stałeś się punktem
na linii przecięcia
od gwiazd lecących
do maleńkich drabin

i miecz najdroższy
lamiesz na kamieniach
samotny w walce
zraniony jak Roland

Marian Janusz Kawalko

Wiano

tyłemśy drogi już uszli

Ojcu
więc przystań

Ojcie
stał każdy tropem pójdzia swoim
bo oto las jest
drzwi mego dzieciństwa
jak senna dziupla rozdarta na dwoje

znam tutaj drzewa w bliznach i żywiczne
które od Stwórcy otrzymałem w wianie
bym się nauczył — upadając — milczeć
gdy ciebie przyjdą przybić wyrok na mnie
bym poznał spójnie wszystkich słoików na raz
choć w każdej drzazdze inny wichr się miota
a cisza taka odludna i czarna
że uciec trudno choć trudniej
pozostać

do tego drzewa wszystkie moje ślady
choćbym w najdalszych zagubił się drogach
więc zostań Ojcie
niepotrzebny świadek
gdy niebu będę złorzeczył
bez
słowa

Błogo bardzo sławił będę ten dzień

Błogo bardzo sławił będę ten dzień,
Kiedy na nowo się narodzę;
Nawet gdy to będzie śmierci mej dzień;
Może jednak narodzę się wcześniej!

Ojczyzna albo śmierć

Barbara Nawrocka

HISTORIA Kuby zaczęła się dla świata w pewien październikowy dzień 1492 roku. Dokładnie 28 października postawił na niej stopę Krzysztof Kolumb. Może zresztą nie była to noga Kolumba, a któregoś z jego marynarzy. Dla dalszej historii wyspy akurat ten fakt nie ma głębszego znaczenia. Podboju Kuby dokonał Hiszpan, Diego Velazquez, w dwa dziesiątki lat od chwili, gdy Kolumb zakomunikował swe rewelacje Europie, w 1511 roku. Skolonizowanie wyspy przez Velazqueza i podporządkowanie jej Hiszpanii trwało trzy lata, do 1514 roku. W XVI wieku stulecie rozpoczyna się historia Kuby.

Gdyby wyrazić te pięć wieków językiem muzyki, byłby to wielki koncert na smyczki, trąbki, waltornie i perkusję, zakończony fortepianową etiudą rewolucyjną. Tylko na harfy, liry i fujarki nie byłoby w nim miejsca. Na ekranie cwałowałyby konie i ciężki straszliwie machety, lalaby się krew znacznie obficie niż na „najlepszym” westernie. Dramatyczna to historia i potrzeba jej pióra Szekspira.

Świt państwowości wyspy to zagłada Indian kubańskich, wiek średni — największe na świecie centrum handlu niewolnikami, jej nowożytność spływa krwią powstań. Od ich liczby kreśli się obecny w głowie i gdy Kubańczycy swoim szybkim, żywym i obrazowym językiem chcą mu wszystkie naraz wymienić, zgroza i popłoch wobec tej rzeki krwi miesza daty, wodzów, sceny, batalie i bohaterów. Nie pozostaje nic prócz paniki przed potworem Historii. Jej logiczny ciąg, sens, siłę moralną i hart ludu dostrzegają się dopiero z perspektywy czasu, gdy zasnęli się spokojnie w domu, nad notatkami.

Dopiero wówczas sięga się po wystrzępioną już trochę na brzegach karteczkę z notosu, na której w mieście Bayamo w Oriente zapisało się cztery pierwsze zwrotki kubańskiego hymnu. Razem z drobnymi literami na kartce wraca obraz prawie białego placu w centrum miasta, na którym stoją pomniki tej krwawo wyzwolonej wolności.

Było południe, z nieba walił żar, oblewający nas słodkim potem, płytka chodnika parzyła jak ogień. „La carroza” trąbiła. Plan podróży przewidywał noc w Santiago de Cuba. Chciałam mieć te zwrotki ze sobą. Rozumiałam je, chociaż nie znalazłam poszczególnych słów. Grała w nich trąbka na wsiadane, śpiewała w nich Warszawianka z Marsylianką. To była, to jest pieśń wszystkich ludów walczących o godność narodu i własną. Nikt mi nie zapisywał tłumaczenia — nie prosiłam. Miałam chęć zrobić to sama. Wyszła mi z tego improwizacja, ale oddająca kubańskiego ducha walki z latnych lat. Ta tradycja jest żywa do dziś.

Do walki, naprzód, ludu Bayamo,
Ojczyzna z was dumna — patrzy.
Nie lekajcie się chwalebnej śmierci,
Bo umrzecie dla ojczyzny to wspaniale żyć.

Jak współczesna Kuba długa i szeroka, w każdym mieście, miasteczku i wiosce znajdzie się chociaż jeden transparent, szturmówka, czy wprost na murze wymalowane hasło: „Ojczyzna albo śmierć — zwyciężymy”. (...) Miasta Kuby, jak Warszawa, jak cała Polska są pokryte tablicami pamiątkowymi, wszędzie tam, gdzie ludzie oddali życie w walkach społeczno-wyzwoleniczych. Jak u nas uwidacznia się liczne rozstrzelanych, zabitych, zamordowanych.

W Camagüey na bibliotece miejskiej znajduje się tablica ku czci trzydziestu marynarzy i cywiliów, którzy zgineli w 1997 roku w czasie 24-godzinnej bunt przeciwko Batistie. W centrum miasta w Santa Clara stoi kilka wagonów na urywającym się torze. Tymi wagonami jechali do Oriente żołnierze Batisty dla stłumienia buntu. Ludzie odcięli je od lokomotywy i tak zostali stłumieni. Ludzie odcięli je od lokomotywy i tak zostali stłumieni. Ludzie odcięli je od lokomotywy i tak zostali stłumieni.

które wjeżdżały do naszych miast, przynosząc wyzwolenie w czasie drugiej wojny światowej. Tak stoi na Nowie „Aurora”.

Uderzyła mnie nienaturalna nowość miasta, dziewczęcość tynków Bayamo. Jeżeli miasta kubańskie są w ogóle czyste, to Bayamo jest zadbane do lśnienia. Niemał absurdalnie. Na Kubie zresztą czym ciepłej, czym głębiej w południe, tym czyszej. Odwrócić niż we wszystkich południowych krajach, jakie widziałam. Małe, urocze domki w Bayamo mieszkańcy wszędzie opatrują wiszącą nad wejściem latarenką. Bayamo jest najbardziej hiszpańskim z miast Kuby, najbardziej przypomina klimatem i architekturą Wyspy Kanaryjskie.

Nowe? — zastanowiła się z dystrakcją obywatelka Bayamo. — Najmłodsze na Kubie. Ciągłe od nowa budowane. Palimy je zawsze, gdy nadchodzi wróg.

Utkwiłam wzrok w jej twarzy, nie zauważyła, ale nad jej głową, blisko, nad samym miastem zarysowały mi się trzy coraz wyższe pasma Sierra Maestra. I nagle zobaczyłam te góry takie, jakie są. Groźne, majestatyczne, już nie pagórki ani wzgórze, charakteryzujące pejzaż Kuby łagodnością, miękkością. Tło głowy kobiety, na którą patrzyłam, to była wielka, potężna natura. Sama nie dostrzegłam, że jestem obserwowana przez swoją tłumaczkę. Śmiała się. Tym razem cicho.

— Oni są znani z nieprzytomnej dumy — rzuciła — ludzie z Bayamo. To trudno komuś zrozumieć.

Utkwiłam znów wzrok w Sierra Maestra. Tam jechaliśmy. I tam, ostatecznie — już byłam pewna — zrozumieć te niewiadome rzeczy z tego ludu, który potrafił opanować wyobraźnię cudzoziemca. Myślałam o Moskwie, do której wkroczył Napoleon, ale milczałam. Chciałam od początku, abym zrozumiała ich sama. Tak, na nieprzytomnie dumni. Nie tylko obywatele Bayamo. Teraz ja strzegłam swoich tajemnic. Choćby i tej myśli — skojarzenia ze Europą też potrafiła palić swoje miasta przed najciemnym wroga. Albo zamienić je w ślepych unięstieniu wymierzonej wrogowi sprawiedliwości w kupę gruzu. Nigdy nie byłam pewna akurat tego tytułu do chwały. Zawsze walczyły we mnie realizm ze słowiańskim szaleństwem. Spalenie Moskwy wykończyło Napoleona, ale Powstanie Warszawskie wypompało z Polaków resztę krwi, zniszczyło nas materialnie, zrujnowało dorobek duchowy pokoleń. Po prostu to, co może wytrzymać kolos gospodarczy i kulturalny, tego nie może unieść mały kraj. Ani stosować. Znowu macą mi w głowie ci Bayamczycy, co muszą się palić równie beztrosko, jak o tym mówią.

[...] Jeżeli Kuba znajduje się w stałej gotowości bojowej, to Oriente — nie ma już co do tego wątpliwości — jest strefą zmilitaryzowaną. Patrole zatrzymują na szosach samochody, co się w innych prowincjach w ogóle nie zdarza. Boczne drogi kompletnie blokuje sprzęt wojskowy. Prawda — manewry. Odrzutowce latają tak nisko, że syczy w „la carrozy” dzwonią, jakby za chwilę miały się rozprysnąć po szosie na milion szklanych kulek. Czarne odbicie samolotu spada zniechęca na drogę jak cień olbrzyma. W samochodzie robi się na mgienie mroczno i oblatuje człowieka zupełnie trywialny strach. Nie pierwszy w Oriente.

Za to czym wyżej w górę, w głąb prowincji, kolor zieleni się nasila, staje się mocny, gestnieją gaje palmowe, pojawia się „prawdziwy” mieszany las, choć trochę podobny do lasu. Wzniesienia całej zielone pokrywa krótka, gęsta trawa. To wody podziemne. Ulicami jeżdżą dwukółki zaprzężone w koniki. Ziemia musi tu być cięższa, niż w innych prowincjach, bo ludzie orzą w cztery woły. Na rozryte już ziemi sunące po bruzdach czerwone woły zlewają się do tego stopnia z glebą i horyzontem, że nie można wyodrębnić linii żadnego przedmiotu. Róż powietrza przelotnie w czerwieni pełzających jak olbrzymie żuki zwierząt, które — zdaje się — surrealistyczny kaprys natury ulepił z tej samej gliny, co rozdarto brzdanki pole.

Zjazd serpentynami górskimi, na które naciska masyw lila-rudego pumeksu wypalonego w tygłiu wulkanicznego wybuchu, do Santiago, z widokiem na miasto, zatokę i port, jest jednym z najpiękniejszych w świecie. Najwyższy szczyt Sierra Maestra sięga 2005 metrów nad poziom morza, a mimo to zębataymi szczytami „lida” pojedyncze palmy i wygląda to rzeczywiście jak korowód w tańcu, albo jakby drzewiaste kozice przelatwały z jednego górskiego szczytu na drugi, ustawiały się rzadką tyralierką na łagodniejszych wydłużeniach grzbietów. Jakby posępne i groźne, stworzone do walki, buntów i rewolucji góry zachorowały na brodawki.

Na cmentarzu w Santiago słucham tych samych opowieści, które ssałam z mlekiem matki. O innej matce generala Antonio Maceo, pierwszego na Kubie czarnego dostojnika w mundurze, który sam dosłużył się najwyższego w armii stopnia. Do walki z Hiszpanami poszedł jako prosty żołnierz. Dumna matka czarnego generala, której najpierw zabito męża, później sześcioro dzieci, między nimi Antonio Maceo, mówiła do wnuków z uporem i żelazną konsekwencją tych strasznych kobiet z greckich tragedii: „rośnijcie prędzej, żebyście mogli dać wam broń do ręki i wysłać was w góry”. Jak się okazuje, nie jest to tylko polski wynalazek. Próbowaliśmy u siebie bezkutecznie, bezsensownie i niepotrzebnie obalać mit takich Polek. Wzór tych kobiet wsczyła do naszej heroicznej mitologii wielka literatura Grecji i Rzymu. Zna go i szanuje ta odległa, leżąca za oceanem wyspa w 1971 roku!

Grób José Martí'ego na cmentarzu w Santiago może konkurować monumentalizmem z paryskim miejscem spoczynku prochów Napoleona. Cmentarze Kuby są w ogóle dziełem sztuki, świadectwem szalonego bogactwa klas posiadających, ale również kultury duchowej. Większość grobów to mauzolea. Rzeźba cmentarna i architektura stoi na wysokim poziomie artystycznym, nie odbiegając od najlepszych świeckich wzorów. Jak inne zabytki okresu kolonizacji stanowi fragment spuścizny historycznej Kuby. W Santiago de Cuba spoczywa Carlos Manuel de Céspedes, ojciec ojczyzny, chociaż pochodził z Bayamo. Imię to nadał Carlosowi de Céspedes lud, a wzięło się ze słynnego powiedzenia pierwszego i prawdziwego prezydenta Kuby, bo wybranego przez lud. Céspedes mawiał, że ma nie tylko swoje dzieci, ale wszystkich obywateli Kuby uważa za synów i córki.

Céspedes sam stracił dwóch synów; jeden został rozstrzelany, a córka podjęła dzieło ojca i braci.

Zdaje sobie sprawę z hieratyczności wybitnych postaci polityków i narodowych bohaterów kubańskich. Na Kubie jednak tak nadal widzi się i pisze historię, obowiązują takie przekazy ustny. Nie miałabym sama środków przekazu rzeczywistości kubańskiej, gdybym się dosłownie nie trzymała wzorów, które decydują o moralno-ideowym podkładzie współczesnego wychowania obywatelskiego na wyspie.

[...] W górach Sierra del Cristal w osadzie Mayari-Arriba mieściła się główna kwatera Raula Castro, dowodzącego II Frontem rewolucji pod nazwą „Frank País”. Był rok 1958, rok — jak się tu mówi — już zognarizowanej rewolucji. Główna baza sił partyzanckich liczyła 63 ludzi, z tego 53 uzbrojonych! W niewielkim, drewnianym domku kwatery głównej II Frontu urządzono dziś muzeum. W gablotach leżą granaty, karabinki, prymitywne armatki wykonane rękami partyzantów. Czysta polska improwizacja. Stoję przy granatach i karabinkach zmontowanych z łuf osadzonych na drewnianych, ręcznie glazdzonych kołbach. Młyn czasu zawraca, chociaż bronie się rozpacziwie. Tonę i utonę wbrew szarpaninie z tą zalewającą mnie wodą wspomnień. Nic mi nie pomoże. Widzę twarze kolegów, którym takie granaty rozrywały się w rękach, widzę rozdarte mięśnie policków, do których przystawiali takie karabinki. To dziwne, że nie krzyczę.

[...] Pokój Wilmy Esprin — obecnej żony Raula Castro. Chociaż to górka, prymitywna i powstańcza kwatera z całym sztafetem ukrytych, podziemnej elagie walki, grożącej w każdej sekundzie strzykiem i torturami, widac — to kobiety kaci. I tutaj unosi się jak zaklęta cała romantyczna sceneria powstań polskich z wozem na czelu, u którego boku stoi niezłomna kobieta. Zostanie później jego żona.

Dokumenty, fotokopie, zdjęcia pacyfikacji, egzekucji. Rozkazy pisane przez amerykańskich interwentów, dowódców misji wojskowej wysłanej na ratunek Batistie.

Wokolo nagie, zupełnie szare, bez akcentu zieleni, góry — Sierra del Cristal. Kryształowe? Diabła tam! Charakter tych gór mrowi skórę na plecach. Do dziś cała osada wygląda jak miasteczko pierwszych poszukiwaczy złota, albo amerykańskich pionierów Dzikiego Zachodu.

[...] Chyba od dwóch godzin nie odczytałam się ani razu do nikogo, chcę nadrobić błąd, ale wychodzą z tego tylko dwa słowa.

— Surowe góry.
— Co to znaczy? — pyta ktoś natychmiast.

— Nie — myślę leniwie. — Nie. Właśnie tyle i to, co powiedziałam. Nie widzą po prostu tych gór. Już ich nie widzą, bo patrzą na nie zawsze. Od stuleci. Ale to straszne góry.

Wjeżdżaliśmy w nie zaraz po wycieku w słonecznym, kolorowym ziołku. Nie wiedziałam, dokąd jedziemy. Santiago ma wiele obłądów. Nie pamiętam o czym myślałam. Było — jak zawsze — gorąco. Wjeżdżałam z temperaturą. Tłumacząc sobie, że tego dnia można wytrzymać, chociaż nie było można. Ale to moja stara metoda. W samolotach dotąd twierdziłam wobec siebie, że mnie nie mdli, aż zaczęłam latać bez przeskód. Polecam tę terapię każdemu z czystym sumieniem — pomaga.

Ocknąłam się na krętych serpentynach, wśród zupełnie nagich skał, odmiennych od wszystkich kubańskich gór, bo jednostajnie szarych, jak szur. Sierra del Cristal noszą na sobie piętno od ludzka, pustkowi, gdzie nikt nie mieszka, bo nie się tu nie chce urodzić, ani uchować, a skata nęka bezpłodnością istnienia. W takie góry ciągną przestępcy jak do rodzinnej, przeznaczanej im jeszcze w łonie matki — nory. W takie góry zaszywa się strażnicy i rewolucjonści.

Zanim dojeżdżaliśmy do Mayari-Arriba rozważałam wszystkie warianty własnej śmierci, mimo to nie zapytałam dokąd jedziemy. Gdybym zapytała, cały misterny plan rozpadłby się, jak domek z kart. Nie zobaczyłabym górskiej, dzikiej kwatery Raula Castro tak, jak powinienam ją ujrzeć. Młyn czasu nigdy nie ruszyłby wstecznym biegiem. Czarny człowiek jest mądry. Posiada mądrość budowania fabuły, instynktowną. Odtworzenia klimatu zdarzeń z niczego. Pisarz konstruuje jedno i drugie świadomie, za pomocą słowa. Jest bogatszy i uboższy zarazem.

(Fragment książki pt. „Jak wulkan gorąca”, która ukazuje się we wrześniu b.r. nakładem „Czytelnika”).

Lekkiej muzy nie wazyć sobie lekce

Maria Bechcyc-Rudnicka

NIE na długo przed końcem sezonu teatralnego Wydział Kultury PMRN oraz Dyrekcja Teatru Muzycznego w Gdyni zorganizowały w porozumieniu z Zespołem do Spraw Teatru i Muzyki MKiS sesję wyjazdową ministerialnej Komisji Zakupów i Stypendiów Twórczych, połączonej z obradami na temat NOWOCZESNEGO TEATRU MUZYCZNEGO. Obrady zgromadziły poza przedstawicielami władz kulturalnych — dyrektorów teatrów muzycznych, kompozytorów muzyki lekkiej, autorów i tłumaczy scenariuszy, librecistów, reżyserów, scenografów, słowem grono kompetentne i mocno w proponowanej tematyce zaangażowane, od którego można było się dowiedzieć różnych rzeczy ciekawych a użytecznych. Żałować przeto należy, iż sekretariat Klubu Krytyki Teatralnej SDP nie zmobilizował tym razem okoliczności jego członków do przyjazdu na wybrzeże, gdzie m. in. padło niejedno słowo krytyczne — pod adresem krytyki.

Bo trzeba przyznać, że istotnie poświęcamy scenom muzycznym znikomą dozę uwagi, zgola nieproporcjonalną do ich, rzecz by można — bujnej działalności i sukcesów u masowego widza. Coś podobnego działo się w odniesieniu do teatrów studenckich pięć lat temu, kiedy to na pierwszy MFFTS we Wrocławiu przybyło zaledwie kilku recenzentów, przeważnie miejscowych. Zupelnie inaczej wyglądała frekwencja już na festiwalu drugim, gdy nagromadziły się oczywiste objawy łączności prądów artystycznych akcentujących się jednocześnie w zawodowych teatrach dramatycznych i w TS. Oby analogiczne przebudzenie zainteresowań teatrem muzycznym nastąpiło wśród krytyków bodaj najwyższej rangi bezwzględnie, albowiem w tym wypadku gra toczy się o stawkę najwyższą — o rzeczywiście powszechne i niekultury teatralnej, któremu ostatnio nienajlepiej służą terenowe teatry dramatyczne, zamieniające się po trosze w placówki elitarne.

Skoro faktem jest dokonaniem, że nawet przy istnieniu długo postulowanych dwóch scen w teatrach dramatycznych, żywioł eksperymentatorski opanował dziś i scenę dużą (praktyka wykazała, iż tych tendencji nie da się zlokalizować na scenie kameralnej), tedy teatr muzyczny uzyskuje jak nigdy realną szansę stania się prawdziwym teatrem powszechnym, przygotowującym niedoświad-

zonego widza do awangardowego teatru dramatycznego i słuchacza do sali filharmonii.

Pod jednym przecie warunkiem: że ów teatr muzyczny będzie placówką z gruntu artystyczną, bo truzimem jest, iż przystępność a rzetelna sztuka nie są antynomiami. Jeżeli tu i ówdzie nią się wydają, winę ponoszą wszyscy ci, co tzw. lekką muzyką wazyć sobie lekce. Sprawa poziomu teatrów muzycznych to problem diablo serio, o czym łatwo się było przekonać przysłuchując się referatom i dyskusji obecnym w Gdyni wybitnych i wczesnowców.

Szkopuł w tym, że można dziś być na stanowisku kierowniczym teatru muzycznego człowiekiem absolutnie dobrej woli, a jednak nagiąć się niekiedy w mniejszym lub większym stopniu do wątpliwych wartości repertuarowych i wykonawczych. Powodów do grzeszków i grzechów głównych — mnóstwo. Trzy są kardynalne: niedobory kadrowe i repertuarowe, braki lokalowe wręcz drastyczne.

Niedawno temu we Wrocławiu przy okazji Festiwalu Polskiej Dramaturgii Współczesnej, powtarzano ustawicznie skargi reżyserów na jej rzekomą niewydolność (z czym pozwoliłam sobie dyskutować w artykule pt. „Pożegnać teatr „lapsurdu” — „Kamena” nr 13 br.). Jakże dopiero uzasadniony mógłby być lament dyrektorów scen muzycznych, boć im bynajmniej „nie przelewa się” w sensie dopływu świeżych pozycji repertuarowych! Mówili fachowcy, że opracowanie musicalu pochłania plus minus 2 i pół roku. A gdzież gwarancja, iż będzie się nadawał do wykonania?

Tu nasuwa się chyba pewna analogia z kłopotami dramaturgów: zarówno ich, jak kompozytorów, odstrasza częstokroć od twórczości dla teatru troska o właściwą realizację. Tylko że podczas gdy w dramacie strachem przejmują autora reżyser-kreacjonista, twórczość kompozytora hamują niekiedy obawy przed nieudolnymi wykonawcami partytury.

Kadry, kadry! Pilną potrzebę reorganizacji zespołów, ergo szkolnictwa artystycznego, sygnalizowali z naciskiem — reż. H. Mozer, Antoni Marianowicz i dyrektor teatru gdyńskiego, gigant pracy, Danuta Baduszkowa, D. Baduszkowej raczej nie imponują zespoły nadmiernie rozbudowane, zamieniające teatr w przedsiębiorstwo, w którym pęta się mnóstwo ludzi „antyteatralnych”. Chodzi natomiast o zespół zintegrowany, nie rozłamujący się na po-

szczególne grupy (soliści, balet, chór, orkiestra itd.). Każdy tu powinien być gotów zrobić dla sztuki wszystko, co mu zleca, nie oczekując dodatkowego wynagrodzenia za dniówkę. No i naturalnie zespół musi składać się z ludzi wykwalifikowanych zarówno pod względem wokalnych jak aktorskim. Niestety, spełnienia pierwszego warunku nie zabezpieczają obecnie nasze szkoły teatralne, drugiego — muzyczne.



Musical „Pan Zagłoba”. Józef Korzeniowski (Zagłoba) i Zenon Bester (Bohun).

Fot. G. Wyszomirska

Wspominano na konferencji o powstaniu Wydziału Wokalno-Aktorskiego w PWSM w Łodzi, jest on jednak bardziej nastawiony na zaspokojenie potrzeb opery. Otóż kierownictwo sceny gdyńskiej poradziło sobie niegorzej zakładając pięć lat temu własne STUDIO, którego adepci są w bezpośrednim kontakcie z teatrem. Dobry poziom ich gry wręcz mnie zaskoczył, kiedy oglądałam przed paru miesiącami interesujący musical Andrzeja Hundziaka i Stanisława Powołockiego „Kariera Nikodema Dyzmy” (zobaczmy w nowym sezonie jego realizację lubelską). Przekonującym świadectwem funkcjonalności STUDIA jest również — oparte na starych plóscenkach widowisko kameralne Teodora Mierzej pt. „Feria z Powiśla”, gdyż na dziewięciociosobową obsadę przypadło tutaj aż pięciu adeptów, dzielnie dotrzymujących kroku wyborowym aktorom.

Wracając od drugiego punktu neuralgicznego — do kwestii repertuaru, trze-

na zamieszczę, iż warunki dewizowe, a nieraz trudność dogadania się z tą czy inną agencją zagraniczną — stają się przyzryną odcieczką niemal naszych teatrów muzycznych od wiodącej twórczości musicalowej. Musicale-przeboje omijają częstokroć nasze sceny, ustępując miejsca łatwiej docierającej tandencji.

Przy wymienionych wyżej kłopotach, repertuaru sceny gdyńskiej należy wysoko cenić jako rezultat wzorowego planowania. Preferując repertuar polski, kierownictwo Teatru Muzycznego w Gdyni zachęca kompozytorów i scenarzystów do tworzenia nowych dzieł, bo nabywa je po prostu — „na pniu” (podobnie namówiła swego czasu Brylla Barbara Kostrzewska do stworzenia „Janosika” dla Operetki Dolnośląskiej). Teraz, dzięki takiej inicjatywie, powstaje arcydowcipna parodia musicalowa „Marianowicza i Grońskiego „Majcher lady”, z muzyką Jerzego Derfla, obrazująca przenikanie chamstwa poprzez niechlujność i plugawy język. Pokazano nam tę satyrę w próbach, godna jest ze wszęch miar polecenia innym teatrom.

Ale nie stroni dyr. Baduszkowa i od pozycji klasycznych. W programie przeglądu-towarzyszącego omawianej sesji znalazła się „Córka Madame Angot” (adaptacja tekstu — A. Marianowicz i J. Minkiewicz), co osobiście przyjął z entuzjastycznym aplauzem, albowiem nierychło doczekamy się Offenbachów XX wieku. Na tym miejscu trudno przemilczeć śliczną scenografię tudzież świeżość inwencji reżyserkiej Krzysztofa Pankiewicza, świetny śpiew i werwę zespołu. Zachwycał stary Paryż „syntetycznie”

Wandy Maciejewskiej (instenizacja: Danuta Baduszkowa i Barbara Jankowska, reżyseria: Danuta Baduszkowa, kierownictwo muzyczne: Wiesław Suchoples, choreografia: Wiktor Charczenko, scenografia: Barbara Jankowska, fechtunek i układ walki: Waldemar Wilhelm, Premiera 7 V 72). Monumentalne to widowisko wymagaloby specjalnej recenzji, w ramach niniejszego artykułu mogę powiedzieć niewiele.

Oczywiście adaptacja ma się do 14-miejscowej powieści jak wyciąg fortepianowy do partytury orkiestrowej, ale swastyż trudności tego rodzaju kontensacji, trzeba przyznać, iż opus adaptorki zaleca się swartością, kulturą, brakiem fałszów, odpowiednim do tytułu wyeksponowaniem postaci Zagłoby i wiernym przekazem w dialogach — jego dowcipu.

Zabudowanie przestrzeni scenicznej (imitacja bierwion), archyzyntetyczne, daje zarazem nieograniczone możliwości sytuacyjne, co szczególnie sprawdziło się w scenie „ogrodowej” Skrzetuskiego i Heleny (bodaj w Roztoczcu), których przejście na laweczkę pod namalowanymi na pasie płótna trzema drzewami dokonało się w sposób techniczny nie dogodny. Pomysłowe też było umieszczenie kanału dla orkiestry pomiędzy sceną a proscenium.

Muzyka odbiega od szablonu większości współczesnych musicali. Wprawdzie dąłoby się odnaleźć w niej ślady zafascynowania Musorgskim, zwłaszcza w piosence o świątecznych kosach (z której można by zrzęznogwać bez żalu), lecz dobre wzory nikogo nie hańbią.

Widowisko ma świetne tempo, zgręcznie i wartko realizowaną akcję. Jeśli wyczuwało się pewną „arytmicę” w bitwie na początku drugiego aktu, za to „taniec z szablami” w pierwszym był pełen ognia, a i później pojedynek Bohuna z Wołodyjowskim pasjonował ekspresją mimiczną.

Jako jedną z najładniejszych zachowuje pamięć scenę w Czarcim Jarze, o nastroju trochę szekspirowskim, trochę — teatru-laboratorium.

Aktorom należą się szczerze słowa uznania, właściwie za wszystkie role, w szczególności zaś za postać Zagłoby (Józef Korzeniowski) i Bohuna (Zenon Bester, który zyskał może więcej sympatii u widza, niż przeznaczal dla postaci Sienkiewicza).

Była mowa na wstępie o trudnościach kadrowych dzisiejszych teatrów muzycznych. Mam wrażenie, iż teatrowi gdyńskiemu te kłopoty nie są bardzo dalekie aktualnie we znaki. Zauważyłam w kilku widzianych spektaklach sporo nader interesujących artystów. Jak np. wspomniany już: Korzeniowski-Zagłoba (i Larivaudière w „Córce Madame Angot”) oraz Bester (Bohun, Barras, pseudo-Higgings — wspaniały głos, werwa, znakomite warunki). A Elwira Remfeld („Przodująca” przekupka w „Feriajnie”, w „Zagłobie” — zagadkowa Horpyna), dalej — Jacek Labuda (Rzędzian, ale i żwawy Pomponnet), Longina Kozłowska (sprytna damulka w „Córce Madame Angot”), Janusz Gole (komiezy Sakiewka w „Feriajnie”), Jana Heine (despotyczna Kniahni, uczesna Madame Angot w finale opery komicznej), Marian Rajski (atrakcyjny poeta Ange Pitou i Skrzetuski)... Artystów pominiętych proszę o darowanie luk w pamięci.

Z takimi aktorami, z wybitnie operatrywnym kierownictwem, w osobach dyr. Antoniego Śmiejana i Danuty Baduszkowej, teatr gdyński może wkrótce osiągnąć swój wielki cel: stworzenie NARODOWEGO TEATRU MUZYCZNEGO, który jest ogromnie w Polsce potrzebny.

Słusznie wznosi się dla niego piękny gmach na miejscu spalonego teatru Iwo Galla.

Okolice sztuki

Niedaleko „Labiryntu”

KONIEC wiosny wniósł kilka nowych elementów do sytuacji plastyki w Lublinie. Po wieloletnich przygotowaniach budowlanych, zakłóconych przez pośpieszne i niefortunne decyzje, które rychło trzeba było „odkryć” kosztem środków i czasu, otwarto staromiejską galerię „Labirynt”, sprawdzając na ten podniosły moment wystawę malarstwa i rysunków Jana Tarasina, członka „Grupy Krakowskiej”. Początek zachęcający, co będzie dalej, zobaczymy.

Chciałbym jednak nieśmiało przypomnieć, że w chwili wspólnego myślenia o programie „Labiryntu”, cztery czy pięć lat temu, kiedy

sprawę popychał do przodu Adam Styka, widzieliśmy w galerii przede wszystkim miejsce spotkań artystów, naukowców, inżynierów i pisarzy, a zatem miejsce polaryzacji postaw, ujawniania problemów określających stan świadomości społecznej, słowem teren aktywności intelektualnej. Rzecz jasna, widzieliśmy równocześnie miejsce na pokazy i demonstracje artystyczne, w jakiś sposób — materialny i ideowy — powiązane z działaniami sztuki współczesnej. Chodziło w końcu o to, aby nie zawęzić pracy „Labiryntu” do urządzania mniej lub bardziej konwencjonalnych wystaw, których organizuje się i tak za dużo, tak bardzo za dużo, że pełnoprawne jest twierdzenie o inflacji wystaw plastycznych, o inflacji obrazów w ogóle, co znakomicie wyczuli rzecznicy sztuki pojęciowej, wsparci z jednej strony o myśl Bergsona, z drugiej o Lukacsa — sztuka dzisiejsza jest w końcu heterogeniczna. O galerii jako miejscu do myślenia pisałem zresztą nie raz, w przekonaniu, że pomysł nie jest beznadziejny, a przypominając obecnie całą sprawę liczę na jego realizację.

Wyrachowanie nie jest bezpodstawne, albowiem tak się szczęśliwie złożyło, że nowym prezesem ZPAP w Lublinie został Andrzej Kolodziejek, człowiek dość mocno związany z losami „Labiryntu” i, jak to się mówi, pełen inicjatywy; choć galeria należy do Miejskiego Domu Kultury, zycielnie spojrzenie Związku przyda się jej na pewno, chodzi jednak o to, żeby nie było to spojrzenie zbyt „troskliwe”, obwarowane warunkami. Wszystkie najciekawsze galerie sztuki w Polsce działają poza ZPAP, co jest absolutnie zrozumiałe, jako że Związek z na-

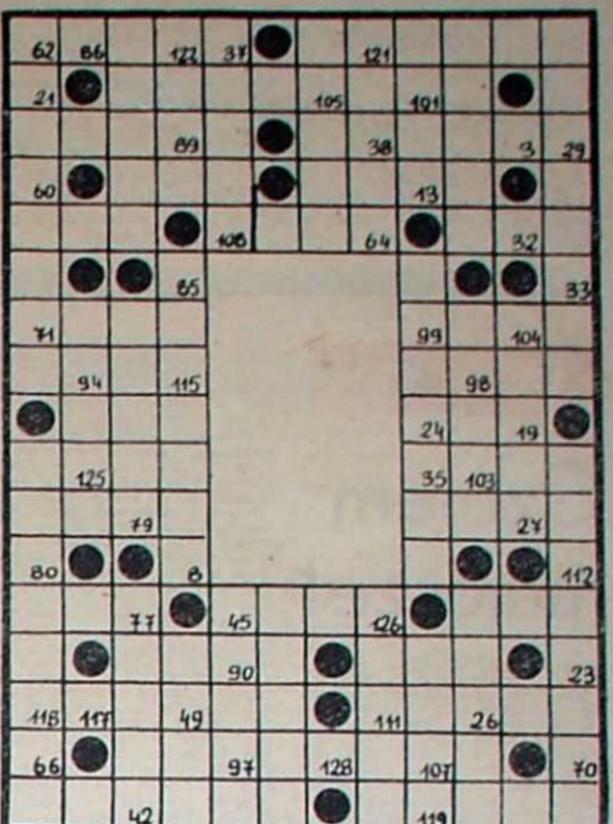
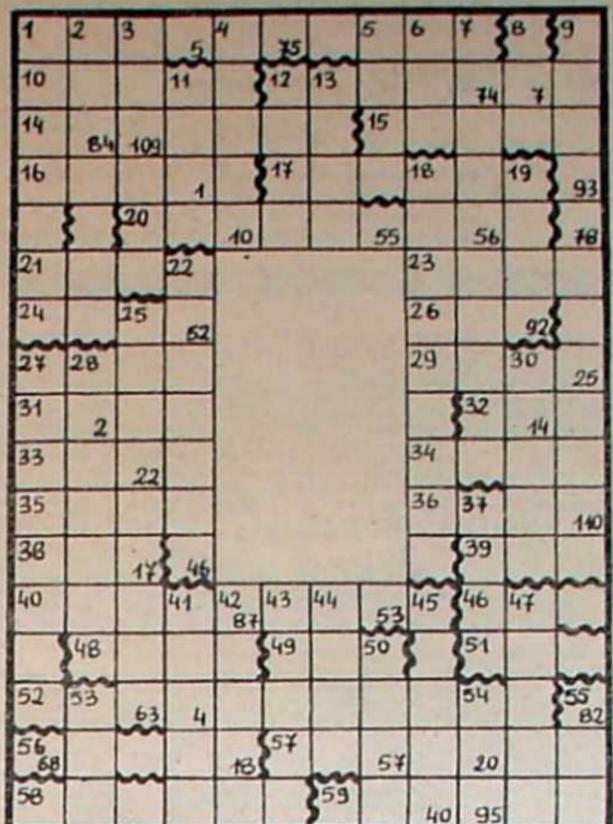
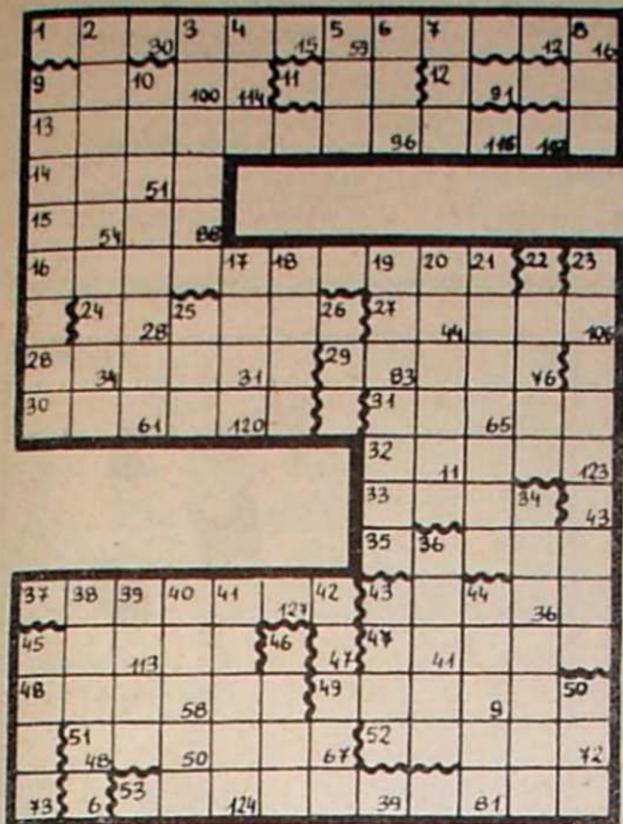
tury rzeczy musi godzić różne i nierazko sprzeczne interesy wewnętrznych ugrupowań. W najlepszym wypadku prowadzi to do kompromisów, które rzadko sprzyjają rozwojowi życia artystycznego.

Po wielomiesięcznej pustce w gabinecie o drzwiach obitych dźwiękochłonną materią, za którymi stoi biblioteczka eksponująca niedgdy książki „Kierownik a podwładni”, czy coś w tym rodzaju, pojawił się w Biurowy Wystaw Artystycznych nowy kierownik, Edward Nadulski — malarz, działacz społeczny, b. prezes lubelskiego ZPAP. Działalność BWA jest tak zdeteminowana przez różne zewnętrzne okoliczności, że trudno już dziś powiedzieć, jak E. Nadulski poradzi sobie z rozwiązaniem spraw i sprawek, które otrzymał w spadku. Jedno nie ulega wątpliwości i podnieca optymizm: start okazał się pomyślny, propozycje nowego szefa mogą skupić wokół BWA zarówno środowisko plastyczne, jak i co ambitniejsza w swoich aspiracjach kulturalnych publiczność. W pierwszym rzędzie mam na myśli znakomity pomysł powołania stałego „salonu krytyków”, prowadzonego przy pomocy krytyków z różnych ośrodków kraju: z Warszawy, Krakowa, Lublina, może Poznania lub Wrocławia, którzy urządzaliby w bocznej sali BWA wystawy preferowanych przez siebie artystów, co byłoby połączone ze spotkaniem dyskusyjnym z prezentowanym malarzem i jego ideowym sprzymierzeńcem. Takiego, stałe działającego salonu w Polsce nie ma i nie było, a korzyści wynikające z jego istnienia są zrozumiałe same przez się.

Tymczasem w BWA czynna była — w czerwcu — wystawa malarstwa Kajetana

Sosnowskiego. Artysta to zbyt znany, aby referować tu jego biografie, w której widnieją wystawy w co bardziej znaczących centrach sztuki europejskiej, przypominmy jednak, że Sosnowski urodził się w Wilnie w 1913 roku, a przez pewien czas związany był z Chelmem Lubelskim. Sentyment do tego miasta nie wygasł zapewne, bo jak płotkują jego obywateli — Sosnowski wspólnie z Bożeną Kowalską i władzami kulturalnymi Chelma przygotowuje stałą imprezę plastyczną, która wzbogaci przy okazji rekwizytornię faktograficzną tamtejszych poetów, nieco nadmiernie zafascynowanych chyba rowem o nazwie „rzeka Uherka”.

Sosnowski, zagorzały dyskutant wszelkich sympozjów i plenerów plastycznych — ciarki mnie przechodzą na wspomnienie jego polemiki z Kantorem we Wrocławiu 1970 — od lat rozważa w swoich obrazach problematykę relacji kolorystyczno-światłowych i przestrzennych, przyjmując postawę raczej badacza, niż twórcy wizerunków. To sekcjonistyczne ukierunkowanie nie pozbawia przecież jego płócien, łączonych w autonomiczne zestawy, poetyckiej atmosfery wywołującej doznania dość subtelnej natury. Być może także miejsce nie odpowiada artystyce, ale jego obraz chciałoby się mieć w domu, po jego wizerunku nad biurkiem: błękitny, pulsujący światłem prostokąt wprowadza w stan bezinteresownej kontemplacji, zaciera pojęcia i wygłady rzeczy, które aktualnie nosimy w świadomości, oczyszcza. Przynajmniej na chwilę, ale to i tak dziś bardzo dużo.



Krzyżówka nr 15

Zamieszczamy trzy krzyżówki, które stanowią jedną całość. Należy odgadnąć hasło według kolejności liczb wpisanych w dolnym rogu poszczególnych krzyżówek. Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem redakcji „Kamień” (Lublin, skrytka pocztowa 131) do dnia 26 lipca br.

WYKRES PIERWSZY.

POZIOMO: 1. nietakt lub cecha fałszywa, 9. najbardziej czynni członkowie organizacji, 11. autor „Tajemnic Parsyfa”, 12. przelotny meczuś, 13. następuje w stosunkach Wschód - Zachód, 14. z Zielonego Wzgórza, 15. fiaska w złotych, 16. reprezentacyjny polski piłkarz, obrońca, 24. indyjski laureat nagrody Nobla, 27. stolica jest Nairobi, 28. obowiązkowe świadczenie, 29. wybitny poeta austriacki (1875-1926), 30. członek skrajnej sekcji muzułmańskiej izmailitów z XI-XIII w., która brała udział w wojnach krzyżowych, 31. wyspy koralowe (wspak) 32. kapieliśko nad Bałtykiem, 33. ozdobny sztylet malajski, 35. dodatek, załącznik,

37. słynny przebieg M. Grechuty, 43. np. itp., 45. spółczona pisownia jednego z człowiek reżyserów francuskiej „nowej fali”, 47. kraj związkowy w NRF, 48. niedzarda - niedorajda, 49. kolor żółty z zielonkawym odcieniem, 51. autor „Śniadania u Tiffany'ego”, 52. poeta indyjski z okresu Odrodzenia, autor hymnów religijno-mistycznych głoszących idee jedności wszystkich religii, 53. galeria, zbiór obrazów.

PIONOWO: 2. oddziela w cerkwi nawę od części ołtarzowej, 3. zespół enzymów zawarty w drożdżach, powoduje fermentację alkoholową cukrów, 4. 4. ischias, 5. kompozytor z „Pociągów Gromadki”, 6. wada wzroku, 7. słowiańska bogini miłości, 8. kojarzy się ze zmrókiem, 9. krótki od pytona, 10. tytuł filmu L. Buñuela 17. jednostki głośności, 18. azjatyckie państwo z szachem, 19. postać z „Balladyny”, 20. grała rolę Nataszy w emitowanym przez TVP serialu „Arsen Lupin”, 21. podbił przez P. Pizarra, 22. przedstawienie bojejące Marii z martwym Chrystusem na kolanach, 23. wierzy w przeznaczenie, 25. dźwięk „g” podwyższony o pół tonu, 26. pustynia piaskowa, 34. chrząszcz albo rodzaj lekarza, 36. miasto w Katalandzie, 38. za plugiem, 39. Rzym po włosku, 40. ma krótszą szyję niż żyrafa, 41. salonka lub lora, 42. dyrektor Wydawnictwa Lubelskiego, 43. nie żyłby bez mleka,

44. pierwszy rektor UMCS, 45. lapus, 46. 16 VII 1972, 50. następuje mowę człowieka.

WYKRES DRUGI.

POZIOMO: 1. odtwarza postać Arsena Lupin w serialu francuskim, 10. śpiewa w Andrzejem, 12. górnik na emeryturze, 14. grał, 15. edukacja, 18. zespół, drużyna, 17. półlegendary król Sparty, 20. autorka „Medallionów”, 21. filozof niemiecki, przedstawiciel tzw. wulgarnego materializmu (1815-95), 23. czas, okres, 24. w mitologii greckiej uosobienie niezgody, 25. „placzą” nad rzeką, 27. naftowe miasto w Azerbejdżanie, 29. arystokratyczny ród włoski panujący w Ferrarze w 1240-1597 r., 31. obrazek ale roślinna, 32. stepka, 33. miasto z zakładem „VEB Carl Zeiss”, 34. zewnętrzna część skorupy ziemskiej, 35. wchodził w skład pierwiastka, 36. na drzewie, 38. dźwięk „d” podwyższony o pół tonu, 39. antonim polysku, 40. wewnętrzna warstwa komórek zarodka w stadium gastruli, 46. narty, 48. woda na pustyni, 49. nowela Gogola, 51. ptak śpiewający 52. dżentelmen-włamywacz, 56. reżyser francuski, reprezentant „realizmu portyckiego” („Ludzie za mgłą”, „Brzask”, „Komedianci”), 57. gruba tkanina wełniana, 58. żużel, 59. słynna Brigitte.

PIONOWO: 1. gwiazda filmu francuskiego m. in. „Piekność dnia”, 2. wy-

borca, 3. miasto w środkowych Chinach, 4. bohater „Popiołów”, 5. zmarły w tym roku znany producent filmów angielskich, 6. więcej niż wiek, 7. dwukrotnie zwyciężył w Wyciągu Pokoju, 8. znak Zodiaku, 9. szlachectwo niepełne, wprowadzone w Polsce w 1669 r. jako stan przejściowy dla rodzin nobilitowanych, 11. podstawa obładu, 12. twórca pierwszego szczeplonki przeciw chorobie Heinego-Medina, 13. zespół 3 instrumentalistów, 18. pisarz rosyjski (1843-1902), 19. imię Coopera (aktora), 22. fale morskie wywołane podwodnymi trzęsieniami Ziemi i wybuchami wulkanicznymi, 25. przegródą w cerkwi (pokryta ikonami), 27. hinduska taneczka kultowa, 28. pisarz włoskiego renesansu, zw. biczem kłosał, 30. uroczyste nakrycie głowy papieża, 37. port nad Irtysem, 41. przewlekły niezbyt nosa, 42. dyskobol czeski, były rekordzista świata, 43. lewatywa, 44. dla rolnika i aktora, 45. jednostka natężenia prądu, 47. rzeka w Afryce, 50. rozdział Koranu, 51. uderzenie, cios, 54. srebrzysty, miedzi metal, 55. laureat Lenińskiej Nagrody Pokoju w 1953 r.

WYKRES TRZECI. Wyrazy do wpisania:

3-literowe: BAL, BER, EOS, MIG, MIT, OKA, RYN, USA.
4-literowe: ABEL, AGAR, BABA, DODO, EGER, ERIE, KARY, KITA, KO-

PA, KOSZ, ONON, ORKA, PEEL, RZEP, SKOK, ZLEW.
5-literowe: DATEK, ERATO, GABIN, KOMIS, LGARZ, MARTA, OGIER, RUMIA, SAMUM, SNAKE, SZABA, TITOW, UMIAR, WEZEL, ZOMBA.
6-literowe: ASMARA, ATEIZM, CHMARA, STRUGA.
7-literowe: ADAMPOL, BRYLANC.
8-literowe: ALMANZOR, KOLEKCJA, LANGUSTA, ORGANIZM, UBIKWIST, WYRZUTEK.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 12
POZIOMO: Bieszczady, trap, nasyp, korowa, rumba, Gera, rygacz, władza, Zittau, Kielce, konto, Alaska, sitarz, statyw, cesarze, orfa, nagar, retorta, ideal, aura, Radeżnica.
PIONOWO: Bona, ekspert, zaprawa, Ziemia, dekarz, rewla, poljezierz, Orly, zakosy, giejt, Szwałczyca, Łukasz, Dania, tusza, Iwonicz Alfieri, terrasa, Tagore, seter, rura, Bła.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 13 nagrody otrzymują: Szklarczyk Maria, Włodawa, Szpital Powiatowy, Mikusek Władysław, Radom, ul. Domagalskiego 2, Komorowicz Wojciech, Skarżysko-Kam., ul. Leopolda Staffa 22/2, Zawisza Wojciech, Lublin, Droga Męczenników Majdanka 32/31.

Listy do KAMENY

„Na Roztocze? Owszem, ale...”

W „Kamieniu” nr 10 (495) ukazał się artykuł „Na Roztocze? Owszem, ale...”, który omawia niedociągnięcia wczasowicz i turystyki na pięknym Roztoczu.

Wszystko to, co omówiono w artykule, jest niestety prawdą. Moim zdaniem wszelkie te niedomagania są dlatego, że nad całością bez względu na podział administracyjny nie czuwa jedna osoba - zarząd, tzn. powołana do tego instytucja czy organizacja. W takich warunkach „każdy sobie rzepkę skrobie”, a z tego niewiele wychodzi. Nie chcę wysuwać żadnych propozycji, bo od tego są specjaliści i do nich to należy. Przyglądam się tylko i obserwuję, jako zwyczaj mieszkaniec Roztocza, zamieszkały w Suszu.

Jestem zadowolony, że tutaj mieszka, bo tak czysto i zdrowo powietrze nie ma nigdzie chyba w okolicach górskich. W artykule było umieszczone także zdanie: „Bo tak, jedni mają możliwość trzymania wczasowiczów w sobie na kwatery, ale nie mają chęci i czasu zajmowania się nimi, inni mają czas i chęć, lecz nie mają kwatery”. Ja na odwrót: mam czas, chęć i kwatery, lecz nie mam wczasowiczów. Mam do dyspozycji na okres letni trzy 2-osobowe pokoiki, które chciałbym wykorzystać i wynająć, aby uzupełnić swój rodzinny budżet (jestem renciastą). Pokoiki te można również dostosować do zamieszkania zimą, lecz tego nie robię, bo po co? Jeden z tych pokoi jest na dole, a dwa na górze (półpiętro), jeden z balkonikiem. W domu nie mam wszelkich wygód, bo brak c.o. i kanalizacji, lecz każdy z nich jest skromnie umeblowa-

ny. Nie mam również możliwości stolonowania wczasowiczów. W ubiegłym roku zawarłem umowę z „Gromadą” Oddział w Zamościu na wynajęcie kwatery na lipiec i sierpień, czyli na 12 turnusów 2-tygodniowych. Wykorzystano było tylko 3 turnusy. Zostałem nawet swoje kwatery do konkursu pt. „Jabłko przyprasa Matysiaków”, ale nikt się tym nie zainteresował. Wczasowicze, którzy w ub.r. u mnie przebywali, z kwatery byli całkowicie zadowoleni. Mam na to dowody zostawione przez nich na piśmie. Nadają się nawet do wykorzystania w publikacjach. W bieżącym roku „Gromada” nie zawarła już z mną umowy na wynajęcie kwatery dla wczasowiczów, rzekomo przez znaczną odległość od gospody (700-800 m), gdzie zmuszeni są do stolonowania. Może to trochę za daleko, ale zależy dla kogo i w jakim celu. Obecnie czekam, może ktoś wyjątkowo przywiał? Nie piszę powyższego po to, by się skarżył, lub prosił o interwencję, po prostu przedstawiam fakty, które pokrywają się z tym, co wyczytaliśmy we wspomnianym wyżej artykule.

Jan Wróbel
p-ta Susiec
pow. Tomaszów Lubelski

Komunikacja i zdrowie

Kiedy usłyszałem o zamierzonej likwidacji linii trolejbusowych w Lublinie, jak najpoważniej przetrząsałem się. Jakich trzeba argumentów, aby przekonać czynników kompetentnych w tej sprawie, że nie należy likwidować trójliniowej trolejbusowej (ani nawet umniejszać jej zasięgu terenowego w Lublinie), a przeciwnie, dbać o jej rozwój?

Powszechnie wiadomo, że są kłopoty z palakami, trolejbusy w sumie są wolniejszym środkiem komunikacji miejskiej od autobusów itd., ale nie zaniechajmy powietrza spalania i są także. Weźmy np. autobus zdążający z Al. Tygielniczy czy Al. Spółdzielczości Pracy. Załadowany pasażerami, zant-

wyjdzie pod górke, na Rady Delegatów pozostaje po sobie chmurę ciężką, nieprzyjemnych i zabójczych spalin.

Trzeba patrzeć daleko w perspektywę, niedługo Świdnik administracyjnie będzie zaliczony do Lublina, planuje się budowę kopalin węglami kamiennymi na Lubelszczyźnie, w ramach Lubelskiego Zagłębia Węglowego, co niezaprzecznie odbije się dodatnio na rozwoju Lublina. Wzrośnie gęstość ludności, a wtedy same autobusy nie rozwiążą problemu komunikacji w mieście.

Zauważyłem, że w Lublinie następuje się poczynania, wzdłuż z innych większych miast Polski (Poznań, Warszawa), gdzie likwidują się linie trolejbusowe na rzecz tramwajów. Zastanawiam się nad tym zjawiskiem, bo np. w Moskwie właśnie trolejbusami zastępuje się tramwaje (całkowicie wycofane z komunikacji miejskiej) i większe linie autobusowych, a tramwaje przeciwnie, jak wiadomo, są najszybszym i najbezpieczniejszym środkiem nazimnej komunikacji miejskiej.

Każda tzw. „nowość” przychodzi do nas z większych miast, a my bezkrytycznie to przyjmujemy, np. takie gupstwo, jak nazwa domu towarowego, który został nazwany na wzór Warszawy „Sezam”. Przecież to śmieszne i denerwujące. Czy nie można by było nazwać PDT jakos inaczej, nadać mu lokalną, atrakcyjną nazwę? Ludzie działający w tej branży są zupełnie pozbawieni polotu i wyobraźni.

Jeszcze jedna sprawa, a mianowicie nazwy ulic, o czym się już niejednokrotnie pisało. Są w Lublinie takie nazwy beznadziejne, że aż żal pisać o tej i trolejbusowej sprawie do redakcji „Kuriera Lubelskiego”, ale bez skutku. Żadnej odpowiedzi, żadnego odwołania i to właśnie jest smutne. Odnoszę wrażenie, że sprawy te zostały zlekceważone, a na pierwszym miejscu umieszczono ogłoszenia o zagubieniu skarpetki w sklepie spotywarowym.

Jerzy Malinowski
Lublin

Relacja

Dokończenie ze st. 11

wiatu lubartowskiego do krańciskiego Jan Sławiński, „Tyfus”, i wstąpił do Pawłowa do moich znajomych, pytał się o ludzi, a już wtedy PPR działała, to mnie od razu wysunęli. Złapałem kontakt z „Tyfusem”, do KPP należałem, to on już rozumiał, bo on sam KPP-owiec był. Potem przysłał Szymańskiego Tadeusza, który przyszedł razem z Niewinnym, rozmawialiśmy... Trzeba będzie komitet powiatowy lubelski złożyć. Ja zostałem sekretarzem tego komitetu, ale po pewnym czasie Niemcy złapali dwu członków komitetu, baliśmy się, że mogą nie wytrzymać i wydadzą nazwiska. Robota znów stanęła, musieliśmy się ukrywać. Drugi raz komitet zawiązał się w lasku Dąbrowa. Dąbek przyjął stanowisko sekretarza, ja zostałem zastępcą do spraw wojskowych, Pawłowski — organizacyjnym, Drwał — technikiem. Niewinny został komendantem oddziału lotnego AL, który mnie podlegał. Parę akcji było, majątki niemieckie rozbijaliśmy...

Wraz z oddziałem Niewinnego znalazłem się w Chełmie 20 lipca 44 roku. Wyszedł wtenczas Berling i jakiś generał sowiecki i przywitani nas. Na drugi dzień Niewinny, Skrzypek — „Kotwica” i ja

dostaliśmy wezwanie do gmachu PKWN. Jak przyszedłszy do tego gmachu, to zaraz tam na hoku był Osóbka-Morawski, to Skrzypek serdecznie się z nim ucałował, a mnie zaraz wezwał Radkiewicz. Jakich ludzi wy macie? — pyta. Chcę, żebyście wybrali 12 ludzi, takich pewnych i bojowych, do ochrony Komitetu Wyzwolenia. I ja wybrałem. Kańczugowski Jan, Pietrzak, Korzeniowski, Malocha... Z balkonu czytali na drugi dzień Manifest, a myśmy byli jako osobista ochrona Komitetu. Na razie tośmy głodowali, ciężkie były warunki, kasza, olej i śledź — to już było bardzo dobrze. Błyszczący dziad — mówił wtedy niektórzy o wojsku i milicji. Potem przeniosło się wszystko do Lublina i ja już miałem inne funkcje...

Spisał Maciej Podgóski

Obecnie Wiktor Srodek ma rentę partyjną, mieszka w Bystrzycy (pow. lubelski). Ma niewielki kawałek ziemi, na którym gospodarzy wraz z żoną. Jego syn, Jan Srodek, który podczas okupacji zaangażowany był w robotę konspiracyjną wraz z ojcem, również należy do ZBoWiD-u i jest działaczem społecznym w Chełmie.

«KAMENA»

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WĄSNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTAŃSKI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Redakcja techniczna i korekta — IRENA KOMOSA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch”. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, ul. Jasną 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numery tamal KONSTANTY KEPA
Adres redakcji:
Lublin, ul. Narutowicza 35
Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-83, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

„Kalendarz Śląski” Polonii na Śląsku Cieszyńskim

Jiri Damborský

WYDAWNICTWO „Profil” z siedzibą w Ostrawie specjalizujące się w wydawaniu literatury, przede wszystkim zaś beletrystyk w językach czeskim i polskim, wydało serię publikacji przeznaczonych dla Polonii Cieszyńskiej „Kalendarz Śląski” na rok 1972. Jest to XI z kolei kalendarz dla obywateli narodowości polskiej zamieszkujących Śląsk Cieszyński. Redaktorem „Kalendarza” jest działacz, publicysta, poeta i pisarz Gustaw Przewczek. On też jest autorem kilku wierszy oraz przyczynków zamieszczonych w „Kalendarzu”.

Oprawa graficzna powierzona została Zdzisławowi Bergerowi, który wykonał wiele dobrego smaku i kunsztu artystycznego zarówno w wyborze ilustracji, jak i w ślicznej okładce nawiązującej do ludowych motywów śląskich. Na szczególną uwagę zasługują fotografie artysty-fotografika z trynietkiej huty, Jana Byrtusa, które lematyka jak i poziomem artystycznym wykraczają daleko poza regionalny profesjonalizm.

Z nazwy i przeznaczenia „Kalendarza” mogłoby się wydawać, że chodzi o publikację tylko regionalną. Lecz taki sąd byłby krzywdzący zarówno dla autorów, wśród których obok nazwisk pracowników wyższych uczelni figurują znani działacze terenowi i publicyści, jak i dla samej edycji. Tematyka jest bowiem bardzo urozmaicona i często daleko przekracza problematykę regionu. Są to przede wszystkim artykuły dotyczące współpracy gospo-

darszej i politycznej między CSR i PRL, o której kompetentnie pisze konsul generalny PRL w Ostrawie mgr inż. Władysław Herman, oraz artykuły o wymianie kulturalnej polsko-czeskosłowackiej. Na czoło wysuwają się trzy powieści, a mianowicie przypominające setnej rocznicy rozporządzenia przez Elżbietę Kránsnohorską (tumaczenia „Pana Tadeusza”, następnie o związkach Konopnickiej z Czechami oraz echa twórczości Bolesława Prusa w Czechach. Nie zapomniano również o innych doniosłych wydarzeniach i rocznicach, związanych z Kopernikami czy Moniuszką.

Bogatym działem „Kalendarza” są opowiadania, wiersze, ludowe przypowieści oraz wesołe opowiadania w gwiazde cieszyńskiej. Nie tylko dla zabawy cieszyć się można z ciekawych i interesujących opowiadań, co jest chyba najważniejsze.

Józef Prulkowski

Obrazy reżyserskie

SAJNA

Gdyby dla Rosjan wystawiał Fausta - Pozosta.

Czy dla angielskiej miły - Plus. Lub dla rzymskiego Oter ego - Prego. Czy wam, paryskie dziuple - Silwuple. Albo für deutsche Elite - Bitte. Lecz przed warszawską ferajną? Oj, Sajna, Sajna, niejajna!

HANUSZKIEWICZ

Błyskotliwy i lekki jak ręk Największy reżyser Krainy - Metr osiemdziesiąt pięć (Bez drabiny).

POĘBA

Walczy za dobrą dabo Aż huta stołą paska, Lecz mnie się bardziej podoba Saklarska

Witold Zechenter

ZA KIEROWNICĄ

Za kierownicą siedzi ośliko, jedzie za srybko, czy mgła, czy ślisko. Za wiele mamy podobnych ośliko, stąd taki częsty w wypadek poślizg.

CHYBA TYLKO...

Chyba tylko unikat nie korzysta z bonifikat!

DZIŚ W LESIE

Dzisiejszy dzień już cisze lasu wyjadł - uciekło zeń nawet wspomnienie Driad!

TYLKO...

Wygódka nawet w kształcie rozet to zawsze będzie tylko kłosek.

NIKTORYM PIOSENKARZOM

Nawet gdy komar bzyka z cichą do mikrofonu - to go słychać!

REFLEKSJA NA PRZEJŚCIU DLA PIESZYCH

Terapia dla gapia.

ALKOHOL WIOSNY

Jeśli przed snem upił się bzem, to rano wybił klin klinem joimim!

falsetem

Czołem majorze!

F. PIATKOWSKI zdemaskował na miejskiej stronie „Standaru Ludu” emerytowanego majora WP Anzelma Borkowskiego. Nie fałszował żaden emeryt, Winiewski, którego wynieśli do Warszawy? F. Piatkowski, kapral podchorąży, ironizuje: „Kto rozstrzygnie definitywnie kwestie dyskutowane od kilku miesięcy, czy stripteasera w „Unii” wyznaczyła w majteczkach, czy bez majteczek? Kto potwierdzi, albo zaprzeczy, że striptease w Lublinie skończył się plajtą i obalił...

mit o tym, jakoby jedna ze stripteaserek nie była stripteaserką, lecz stripteasercem, a druga zachorowała na ślepa kiska? (...) Kto będzie kruszył kopiec... Dostęć A swoją drogą przeczytaliście żal emerytowanego majora... Romuald Winiewski, nawet gdy przeniósł się z redakcji „Standaru Ludu” do „Kamenu”, kontynuował swoje felietony na łamach dziennika. Większość czytelników gazety chyba właśnie od nich rozpoczęła lekturę pisma. Były one tak popularne w naszym mieście, że niejednokrotnie proponowaliśmy Romkowi, aby przeniósł się do „Kamenu” wraz z emerytowanym majorem. Obiecywał, że się zastanowi, a jednak wszystko pozostawiało po starciu z Anzelem Borkowskim. Na dół buszował w „Standarcie Ludu”, ganił, gęzał, proponował, ale przede wszystkim obserwowaliśmy życie, dostarczając w nim setki nonsensów. Sądzić, że dobrze zasłużył się Lublinowi. Właśnie dlatego, że był krytyczny. Właśnie dlatego, że jego ostre pióro nie oszczędzało nikogo, że żaden temat nie był dla niego marginesem. Ze poważnie traktował swój dziennikarski zawód, aczkolwiek udawał, że z ludźmi pióra nie ma niczego wspólnego: że był po prostu zwykłym czytelnikiem...

„Standaru Ludu”, który, jak wielu innych, ale lepiej przelewał swe odczucia na papier, działając dla dobra publicznego. Emerytowany major Anzelem Borkowski stał się w naszym mieście postacią znaną, aczkolwiek nieco mityczną, powszechnie lubianą i szanowaną. Mówili o nim takówkarze, mówili kobiety stojące w kolejkach. Czasem mógł się oburzyć co najwyżej któryś z oficjeli, odpowiedzialnych za gospodarkę Lublina. Podobno widząc wojskowe chęci nawet awansować emerytowanego majora lub przyznać mu jakąś nagrodę, ale w żadnej ewidencji ów oficer w stanie spoczynku nie figurował. Ba, o popularności Borkowskiego świadczy taki drobny obrazek. Kiedyś na prima aprilis „Standaru Ludu” zamieścił informację, że właśnie 1 kwietnia odbędzie się w ratuszu ślub majora. Mój ojciec oburzył się wówczas: „Jak można sobie robić takie kpiny z emeryta!” Długo nie wierzył - sądząc, że to kolejny kawał primaaprilisowy - kiedy tłumaczyłem mu, kim jest w rzeczywistości ów major-felietonista. I nie wiem, czy dobrze zrobił F. Piatkowski pisząc „Epitafium dla majora”. Romuald Winiewski, aczkolwiek przeniósł się do „Trybuny Ludu”,...

mógł przecież dalej pisać swoje listy do redaktora, a właściwie do wszystkich. Jako emerytowany major. Fikcja - w danym wypadku fikcja jak najbardziej pozytywna - trwałaby dalej. Nic by nie szkodziło, gdyby poszerzył się wachlarz poruszanych zagadnień, gdyby tematyka dotyczyła spraw warszawskich. Sądzić zresztą, że Romuald Winiewski nie stracił z tym miastem. I my w „Kamieniu” nadal liczymy na jego pióro. Teraz, kiedy przestał być naszym etatowym pracownikiem, nie będziemy już narzekać na nieterminowość dostarczania materiałów, na to, że tematy nie zawsze pokrywały się z planem redakcyjnym... W bieżącym pięcioletnim numerze „Kamenu” zabrakło w stopce redakcyjnej nazwiska Romualda Winiewskiego. Brzmiał to jak nekrolog, ale przecież żyjemy naszymi koledze jak najlepiej. Niech Ci Warszawa lekka będzie i jeśli stałaby się zbyt ciężka, jesteśmy przekonani, że zawsze znajdzie się dla Ciebie miejsce w prasie lubelskiej. Bo dobrych dziennikarzy nigdy tu nie było za wielu. Amen. MAJ



Redakcja: Kupilem „Kamień”, przeczytałem od deski deski i nadal myślę swoje. Rys. S. Szalecki

minuta myślenia

Przed kanikula

SIEDZĘ i mam napisać felieton. Nie chcę napisać, ale mam napisać. Pociągają się jednak, że w podobnej sytuacji znajduje się również literatura. I w ogóle sztuka. Dawny sposób traktowania wypowiedzi jako wynikającej z osobistego pragnienia autora oddał do lamusa wraz z pozostałościami rękodzieła i natchnienia. Sztuka dziś istnieje na zasadzie dziennika, kroniki filmowej, środka masowego przekazu, który musi zachowywać określony rytm. Pewne treści pojawiają się i domagają się wyrazu niezależnie od tego, czy gdzieś istnieje pułsternik, który bierze w pierś cały tragizm epoki i wyprzedaż ją nowatorstwem środków formalnych.

Czy chcę przez to powiedzieć, że dzisiejsi pisarze gorzej piszą? Nie, nie chcę powiedzieć. Pisać może nawet lepiej. Ale zmienił się cały stosunek do kwestii artystycznej wyrażania, potrzeby sztuki, jej miejsca w zainteresowaniu społecznym. Rozpatrzmy to w mikroscopijny, ale jakże wymownym rozmiarze muzyki. Tej rozrywkowej, okolicznościowej, prywatnej. Kiedy dawniej usłyszałem wybiegające przez okno tony pianina, miałem pełną podługą być przekonany, że oto natykam się na kogoś posiadającego tzw. „duszę artystyczną” i w ten sposób dającego upust swojej skłonności do muzykowania. Jeśli przez sztachety drewnianego płotu zza kępy bzu doszły mnie dźwięki gitary, byłem przekonany, że to od takiego samego kłosa, tyle tylko, że mniej zamożnego, bo operującego na tańszym instrumencie. I zawsze widziało się te oczywiste skłonności do samoroznego tworzenia się audytorium. Dzisiaj na skwerze mieszkaniowego osiedla gitara w rękach kilkunastolatka może stać w powietrze dowolną ilość jednostek natężenia głosu, daleko do jakichkolwiek oznak środowiskowego zainteresowania. Daleko również do uzasadnionej uwagi, że gra jest wynikiem psychicznej potrzeby gitarzysty. Jest to ponoć coś w rodzaju obrządku, nawyku, niezaangażowanego odruchu, jak słówko raczone przy mijaniu się w wejściu, jak gra w komętę u najmłod-

szym przedstawicielom opadającego już wyżu demograficznego. I jakie wyraźnie zmienia się treść obyczajów! Jakże zanika chęć zachowania własnej indywidualności u ludzkich indywidualności! Te rozmowy przez skwer i parę pięter prowadzone pełnym głosem przy całkowitej jego dostępności wszelkimi chętnymi i niechętnymi temu uszom. Co to jest? To jest to: ja Kowalski (-a), Malinowski (-a) Kapuciński (-a) mówiący nawet o prywatnych sprawach nie różniąc się od spraw publicznych kogokolwiek, nie stanowiąc mojej własności. Mamy całe legiony owych Kowalskich (Malinowskich, Kapucińskich), których współczesna cywilizacja wielokomercyjowa obrabowała z indywidualności. I tu też chyba jest coś z przeciwdziałania warunkom sztuki, której istotą jest przeciwieństwo przylecia. A - mój kochani - dzisiejsza moda kobieca! Owo wynoszenie domowego negla wprost na ulicę! Ale zaraz, coś grają w radio. No tak, festiwal polski się zaczął. Proszę bardzo! Jest ktoś, kto go naprawdę usłynie! Nie dam sobie mówić, że ów kilkunastolatek, który dwa akapity wyżej posłużył mi jako przykład kłapiącego stosunku do sztuki. Znam go. Jest już wystarczająco zobojętniały na te atrakcje i przyszczałnie nie doznałby ożywienia nawet na koncercie laureatów. Jako wykonawca,

Wykiptała już sensacyjność całej imprezy i młodzi jej zapalenia występują co najwyżej jako kule w filmie animowanym przez dorosłych, albo naiwnych. Poza tym o którymś już z kolei festiwalu znudziło się pisać nawet dziennikarom, co zresztą nie przeszkodził ewentualnemu gradowi publikacji - prawem wspomnianego na wstępie mechanicznego ruchu środków przekazu. Cóż więc dodam od siebie? Ze nawet jeszcze natchnienie wystawienie mi przed oczy i uszy polskiej imprezy nie wzbudzi we mnie zainteresowania na tyle, bym dla niej zrezygnował z woni maciejki w dziesięciu Dziesiąta. O której pewien dziennikarz pisał niedawno w „Standarcie Ludu”, że stanowi przykład antyestetycznego zabudowania w skali całego Lublina. Może ma rację, ale właściwie nie wiem, o co chodzi. Prowadząc nowoczesne „ciężki mieszkaniowo-usługowe” w stylu koszarowym, jak na osiedlu „Kolejarza”, LHM, Tatory, Bronowice i osiedla w ogóle, bo takie masy mieszkaniowe inaczej nie można ulokować? Chyba sam autor tym projektem się nie zachwyca. Odczołgał w przeszłości architektura przybudówek to a koleje trzeci stan rzeczy, który mn nie odpowiada. Czekać więc na zaproszenie w uliczkę oliwnawych pomysłów. Co do mnie - jestem pierwszym kandydatem. Jed warunkiem, że na Dziesiąta. Ijon

Noty i notki

Aż się wierzyć nie chce, ale to najprawdziwsza prawda. Zjednoczenie Budownictwa Rolniczego w Lublinie ogłosiło w obu piśmiech lubelskich konkurs na obsadzenie stanowisk dyrektorskich i zastępców dyrektorów w podległych sobie przedsiębiorstwach. Wynika z tego, że w ZBITO, skńczono z kumoterstami nominacjami, co wario odnotować w annałach kroniki obyczajowej naszych czasów - i czekać na naśladowców. Kto następnym? A swoja drogą do obu dzienników lubelskich mam pretensję. W dniu 28 czerwca odbyła się sesja MRN, na której m. in. omawiano plan społeczno-gospodarczy rozwoju stolicy naszego województwa. Jak każdy obywatel FRL, miałem prawo być obecny na sesji i zapoznać się szczegółowo z tym planem, a nawet - za zgodą przewodniczącego sesji - zabrać w tej sprawie głos, pochwalić plan lub go skrytykować. Ale w praktyce nie mogłem tego zrobić. „Standaru Ludu” wiadomości o sesji zamieścił dopiero w dniu, w którym się rozpoczęła, natomiast „Kurier Lubelski” napisał o niej dopiero następnego dnia już w formie sprawozdania. W ten sposób zostałem pozbawiony możliwości skorzystania z przysługującego mi prawa obywatelskiego, i nie tylko ja. „Przejechałem do Lublina na spotkania autorskie. To jedna z najokrutniejszych form dreczenia aktywów k.o., dzieci szkolnych i autorów. Trzeba by coś z tym wreszcie zrobić - nikt tylko nie wie go! - poskarżyć się niedawno w „Kulturze” Aleksander Matuschowski. Nie przyśadzajmy, ja wiem co zrobić. Po prostu nie przyjać zaproszenia na spotkania i nie przyjechać. Nie będzie się dreczyło ani siebie ani innych. W środę 28 czerwca dotarł do naszej redakcji nr 17 „Tygodnika Kulturalnego”, który równocześnie ukazał się w kioskach całego województwa lubelskiego. Numer był antydatowany - 1 lipca 1992 r. Na przedostatniej stronie nie bez zdziwienia przeczytałem krótkie, ale przecież sprawozdanie z Festiwalu Kapel i Śpiewaków Ludowych który odbył się w Kamieniu w dniach od 30 czerwca do 2 lipca. Z tego wniosek, że redakcja „Tygodnika Kulturalnego” zatrudnia wrocławskie lub wiołonek. Tylko według jakiej stawki go opłaca?

Odpowiedzi redakcji

Andrzej C. Młodzi autorzy zazwyczaj są dużo oczekują od redakcji. Wydaje się im, że sam kontakt z instytucją dysponującą drukiem wpływa na rozwój ich twórczości. Subiektywnie jest to usprawiedliwione, ponieważ wynika z nadziei na „sprawdzenie się” już na tym etapie wstępnym, żadna jednak redakcja nie powie jak należy pisać. Powie - jak nie należy. To znaczy - wykaże elementarne błędy i potknięcia, nie ukáže natomiast sposobów postępowania wiodących do powodzenia, gdyż to po prostu eliminowałoby autora. On sam musi zdobyć się na znalezienie środków wyrazu dla nurtujących go przeżyć. Inaczej, udaremnia sam siebie, odbiera sobie indywidualność. Z tym się chyba Pan zgodzi. Nie znaczy to, że odzeglujemy się od zainteresowania pańskimi poszukiwaniami, przeciwnie - widzimy w nich rzetelne zmagania się z materia słowa i życzymy powodzenia. Pańskie „prozo-wiersze” rokuja na to pewne nadzieje. Wiesława J. „Gest” - jak na nasz gust - za mało refleksyjny. Nawet powierzeniowy. Nie znaczy to, że chcielibyśmy przy każdej okazji głębinowych drateń psychologicznych, ale faktura tekstu sprawia wrażenie uniku przed poważniejszym trudem pisarskim. Sama autentyczność opisanych wydarzeń jeszcze nie ratuje. Opowiadanie w najlepszym razie da się odczytać jak scenariusz, albo nawet scenopis wydarzeń, które w języku obrazów nabrałyby może swojej wymowy, ale którym w wersji literackiej zabrakło jednego z wy-

miarów. Te migawki trochę demaskują kreacyjną beztróską autorki. Nie znaczy to jednak, że odradzamy taką metodę kompozycji. Proponujemy tylko więcej dbałości o filozoficzną wymowę tekstu. Bo przecież nie chodziło w nim tylko o interwencję w sprawie alimentów. Autor „Salonowca”. Nie udało się nam odczytać pańskiego nazwiska, a w następnym liście adresu w ogóle nie było. Mimo to porzaliśmy sobie wypowiedzieć kilka uwag w terminie nieco spóźnionym. A więc obrazek z zabawy w spółdzielni prócz kilku zwrotów cech humorystycznych jest raczej pozbawiony. Nie zautulowany utwór opisujący dynamiczne na oddziale reanimacji, owszem, posiada pewne napięcie wydarzenia, ale brak mu staranniejszej obróbki literackiej. Z aforyzmu tylko niektóre zastępują na uwagę. W sumie - podziwiamy Pana własną opinię o tych tekstach, jako wynikłych z uprawiania prywatnego hobby. „Gilbert”. Ma Pani rację, że miłości potrzeba również w XX wieku. Inaczej nie moglibyśmy mówić o wieku XXI jako okresie istnienia człowieka. Ale świadectwa tej miłości zawarte w wierszach są różne. I niezależnie od tematu, który w praktyce ludzkości odczekał jest ten sam, poezja miłosna jest przede wszystkim poezją i jako taka musi realizować postulat nowości. A przynajmniej do niej dążyć. Inaczej nawet tak dojmujących przeżyć jak miłość nie można by wyrazić. Nie chcemy przez to powiedzieć, że w Pani wierszu nie da się odczuć pewnej świeżości słowa, ale zasada kompozycyjna i sposób obrazowania są jednak dość stereotypowe. A może spróbować jeszcze raz? Mamy na myśli - napisać, nie - zakończyć się.

Lubelskie browary i slarkownia chmielu powinny przyznać jakąś specjalną nagrodę lubelskim studentom, przesiadującym w kawiarni „Tip-Top”. Jak wynika z pobieżnych obliczeń, przeciętnie każdy student na jednym posiedzeniu wypija dwie i pół butelki piwa. Studentki wypadają nieco gorzej - zaledwie po jednej butelce na buzie, ale i to się liczy. Pani Maria Olszanka w dziwny sposób tłumaczy powieść „Śmiejący się policjanci”, drukowaną w „Standarcie Młodych”. Z odcinka w nr. 133 dowiadujemy się np. o istnieniu nieryzykłego zegarka: „Zegarek Stenstroma - wyjął Martin Beck. - Jedna z kul przebiła mu klatkę piersiową i utkwiła w prawym nadgarstku”. Dalej zaś informuje nas beztrósko, że „Larson obrzucił Kwanta i Kristianssona młodzieńcem porcelanobielikimym spojrzeniem”. A mnie się zrobiło ciemno w oczach. Węzłowa duża informacja pt. „Kto „robił” turystykę?” zamieszcza „Polityka” (nr 25), w której nie bez widocznej satyryki relacjonuje wszechstronną i sprawną działalność następn 10 biur podróży. Równocześnie ukazał się w nr 25 „Kultur” artykuł Haliny Maleszewskiej „Polak jeżdże do Zagranic” (to za potworny dziwostek, który tym wszystkim biurom podróży przypina potężne laty, aby nie powiedzieć, że wjeżdża na nich stary psów. Czyżby ktoś już wrócił „z Zagranic”, a ktoś dopiero się wybierał? JOD

SMIAK MIŁOŚCI I LEZ. Też jeszcze nie było w naszym niezależnym organie. Serial, bo na serialu dziś moda. Powieść, która po skróceniu drukujemy w odcinkach, wygląda na autentyczny folklor młodzieżowy, należy bowiem podejrzewać raczej zbiorowy akt twórczy, a tekst krąży w ręcznych odpisach głównie między dziewczętami w wieku szkolnym. Tytuł dzieła - „Smak miłości i lez”. Dopisek - „Autor: nieznan, życie współczesne”. W czasach, kiedy oficjalna młoda proza plawi się w okrutnościach perwersyjnej miłości, nasza młodzież kulturowo cudownie liryczne i serdeczne tworze uczucia la-rodnego, prostego i niesmiertelnego, acz nie bez srogich przeciwności losu. Nina Grodzka musiała już na zawsze rozstać się ze swoją wielką miłością, Mariuszem, który został kaleczem. Nina, będąc już lekarką, wyszła za mąż za przyjaciela Mariusza - Zbyszka Sakowskiego, po czym oboje udali się do rodzinnego Miłowa. Płynięcie życie codzienne.

Sakowski powrócił z pracy. Ujrzał Ninę pochyloną nad kartką papieru czytającą. - Czy to może list do nas? - spytał. - Na jego słowa wzdrygnęła się i złożyła papier we czworo. - Nie - odpowiedziała bardzo spokojnie. - Jak dobrze, że już przyszedłeś. Jakoś źle się czuję. Z uśmiechem na twarzy podszedł Zbigniew do zony. Jej zmierzona twarz wycofuwała u niego uśmiech, szczęście i radość. Cieszył się, że już wkrótce zostanie ojcem, że matką jego dziecka będzie kochana Nina. Planował daleko naprzód. Tylko ona zachowywała się inaczej. Minęły już dwa lata, kiedy ostatni raz widziała Mariusza. Zbigniewa miała ciagle przed oczyma. Ciagle słyszała jego ciepły głos, lecz podczas jego nieobecności nigdy twarzą tej nie widziała. Natomiast tamta towarzyszyła jej zawsze. Jego lez czuła ciagle w swoich ustach. Wiedziała, że już wkrótce wyda na świat potomka, który nie będzie nosił jego nazwiska. „A może umrę” - myślała nieraz. Czują, jak uweonątr ten malutki „ktoś” porusza się, jak do życia pedzi, jednak nie mówią o tym matosiu. Nie lubiła, jak on się cieszył. Dzisiaj wyjątkowo źle się czuła. Zbigniew troskliwie się nią opiekował. Po obiedzie przyszła matka Niny, pani Grodzka. Pocięzyła Ninę. że to nie straszne, że nie tylko ona takie coś przeżywa, ale mamę zaniekowały ile przeczcucia Niny. Panią Grodzką wyprosił z domu Zbigniew. - Zbyszku, dla niej potrzebny krótki spacer. - Mamu, to może jutro pojedziemy gdzieś tak razem? - Możemy. No to jutro pojedziemy do nas z rana. Pani Grodzka bardzo lubiła także wycieczki, dlatego organizowała je bardzo często. Zbigniew wrócił do domu i poposedził o tych dniach Ninie. Nie miała nie przeczo temu. Następnego dnia, a była to pierwsza sierdnia sierpnia, zielonka „Warszawa”, dobrze znana wszystkim

mieszkańcom Miłowa, już we wczesnych godzinach rannych rozlała się poza Miłowem. Dzień zapowiadał się pięknie. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Mijał kolejne wsie, jadąc ostrożnie ze względu na gęstą ichtnie. Wreszcie Zbigniew odetchnął z ulgą. Nareszcie trochę luzniej. Istotnie, ludzie zostali w dali. Nina czuła się doskonale. Bardzo lubiła takie wyjazdy. Oparła głowę o ramię siedzącej obok matki, a oczy błędnie górsze wzajem z myślami. Pan Grodzki zmienił Zbyszka, siedzącego za kierownicą. Samochoód ruszył szybciej niż poprzednio. Wszyscy podnieśli w młoczeniu piękno rozciągających się po bokach lasów szos. Niki nie chciał zakończyć tej cisy. Dojeżdżali do lasu, z którego całe stało saren wybiegło, przebiegając ulicę i zatrzymując się po przeciwnym stronie. Wszyscy zwrócili w tym kierunku oczu. Dojeżdżali do lasu, stado biegnęło tuż przy ulicy. Małe były wspaniałe. Nima miała się jak dziecko. Grodzki myślał, jak by tu jedną skrzyżnicę. Nagle zatrzymał hamulec, z boku lasu wyjechał samochoód ciężarowy. Oba kierownicy całą uwagę skupili na stadzie zwierząt i dopiero to ostatniej chwili, gdy ujrzeni wzajemne rozszk, naciągnięci w myślenie. Czują była scena? Obydwu. Stało się. Zielonka „Warszawa” - jak tu? z podjętą maską i pobitymi szybami zawiązała na „Szere” jak bierdronka na motyla. Z piękności, nowego pojazdu została tylko gładka złoms. Co stało się z ludźmi? Grodzki siedzieli z lewą stroną pojazdu. Z tej strony wyjechał „Star”. Po czarnym asfalcie płynęła szeroka emaga krei. Wronątrz samochodu siedzieli dwa sobota w zielonka emaga Grodzkich, i tylko kresu spływała przez wydłamec drzew. Sakowscy siedzieli z prawej strony. W ostatniej chwili Nina zaskoczyła przysiadając z lasu samochoód i tylko zdążyła naciągnąć odpowiedzialność kłamsk i zacisnąć mocno dłoń. W chwili odzerczenia drzew wchylili się i Nina wypadła na ziemię. Sakowski doznał lekkich obrażeń. Tylko on sam mógł w tej chwili coś robić. Wydołali się ze zmiądzzonej „Warszawy”. Przy wozie leżała Nina... (Dok.)